

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 30 listopada 1947 r.

Nr 48 (105)

TREŚĆ NUMERU: W kraju. Juliusz Nowak-Dłużewski – O typ kultury przyszłości. W świecie. Wanda Kieszkowska – Prawdziwe oblicze belwcderskiej szkoły podchorążych piechoty. Tydzień kulturalny. Włodzimierz Wnuk – „Przegląd Zachodni”. Monique de le Bruchoillerie. Stefan Kisielewski – Zbrodnia w Dzielnicy Północnej. Z zagadnień gospodarczych. Czytelnik uważa, że...

Jan Papini

List Papieża Celestyna VI DO WSZYSTKICH LUDZI

Synowie i bracia moi!

Mówiłem do wielu ludzi, do różnych rodzajów ludzi, lecz nie powiedziałem jeszcze wszystkiego. Serce moje, strawione smutkiem, lecz zawsze pełne miłości i nadziei, nie odzyskałoby spokoju, gdyby jego bicia nie usłyszełi wszyscy członkowie rodziny ludzkiej. Chciałbym posiadać, jak pierwsi apostołowie, dar języków. Chciałbym móc przemawiać słowami, które by były mieczami prawdy, pełnymi miłości. Chciałbym osiąść moc zawartą w sztuce, potęgę zawartą w miłości, wszechpotęgę cudu tak wielką, aby moje wezwania, moje ostatnie wezwania mogło dotrzeć do wszystkich uszu i poruszyć wszystkie serca. Jestem Papieżem, lecz dziś pragnąłbym być tylko żebrakiem. Błagam każdego człowieka o jedną tylko jałmużnę, o to abym był wysłuchany. Wysłuchajcie mnie więc: nie przez miłość do mnie, ale przez miłość dla was samych, ponieważ kocham was taką Miłością, która mnie spala. Wysłuchajcie mnie wszyscy, z jakiegokolwiek rasy pochodzicie i z jakiegokolwiek kraju, mężczyźni i kobiety, młodzieńcy, którzy z troską epoglądacie w przyszłość, starcy, którzy dzielicie swe dni, pomiędzy marzeniami o życiu i myślami o śmierci. Wysłuchajcie mnie wszyscy, ci którzy czy to ociągają się z oderwaniem się od popiołów niepowrotnego „wczoraj” i ci pozwalają się odnieść mirażami jutra, które nie mogą się ziścić. Wszyscy powinniście mnie wysłuchać ponieważ mówię do wszystkich z was i do każdego z osobna.

Nie będę wam przypominał nieszczęść, które na was spadły i tych, jeszcze straszniejszych, które wam grożą. Znać je aż nadto. Przeciwnie, przynoszę wam radosną nowinę, pewność i nadzieję. Zło i nieszczęście możecie uleczyć, możecie ich uniknąć, jeżeli zechcecie, uczynić to, o co was błagam. Powszechne wyznanie win i całkowite nawrócenie uratują was i wasze dzieci na zawsze. Można oddalić katastrofę. Nie wszystko jest jeszcze stracone. Im większe są przeciwności, tym mężniej powinniśmy zwyciężać. Im gęstsza jest mgła, tym jaśniej powinniśmy świecić. Im mroźniejszy jest klimat, tym silniej powinniśmy płonąć.

Koniecznym jest, przede wszystkim, abyście poznali, jacy jesteście naprawdę. Trzeba podnieść przyłbicę i zdjąć maski, aby przyjrzeć się pokornie i z „dumą w lustrze, które nie zniekształca waszego obrazu, ani wam nie podchlebia. Stawiam je przed wami, aby uleczyć rany, trzeba je najpierw odsłonić, mimo, iż będą przez chwilę bardziej boleły.

Wy, nie jesteście tym, o czym mówicie, ani tym czym jesteście, wedle własnego mniemania.

Wydaje się wam, że jesteście ludźmi cywilizowanymi, a ja wam powiadam, że jesteście jeszcze dzikusami i barbarzyńcami. Cały wasz osławiony postęp poległ po dziś dzień na przejściu od stanu dzikości do barbarzyństwa. Wynalazki, zabawki, draperie, ornamenty, przebrania i głupstwa, tak zwanej „kultury”, wprowadziły was w błąd. Wystarczyły rewolucje, najazdy, kapitulacje, spory, wojny, aby zniszczyć podpory ładu społecznego, aby zetrzeć z was pokost przyzwoitości i moralności. Człowiek staje się w tych chwilach podobny do dzikiego zwierza z czasów prehistorycznych, do barbarzyńcy z wieku żelaza, do dzikiej bestii w dżungli. W jednej chwili znika szacunek dla cudzej własności, szacunek dla cudzego życia. W imieniu siły, głodu, sprawiedliwości, cywilizacji, ludzie aż powrócili do kradzieży i zabójstwa: do kradzieży w detalu i w hurcie, do zabójstwa masowego i dokonywanego pojedynczo. Kontynenty, na których najpierw rozdziła się i kwitnęła cywilizacja, stały się teatrem grabieży i rzezi. Nikt

już nie był pewien niczego, ani tego co posiadał, ani własnego życia. Najazd barbarzyńców pod koniec epoki starożytnej był w porównaniu do czasów dzisiejszych jedynie wędrowną oswojonych wilków.

Uważacie się za ludzi religijnych, a w rzeczywistości jesteście ludźmi żyjącymi bez prawa i bez Boga. Ateuszami, którzy się modlą, niewierzącymi, którzy kłękają. Jesteście w czynach uczuciami szafana, którzy jedynie słowem i przez formy zewnętrzne, wyznają, że są wierni Bogu. Wzywacie aniołów, a żyjecie jak demony. Czciecie świętych, a żyjecie jak wieprze. Wznosiście tylko oczy do nieba, ale upodobaliście sobie brud ziemi, jako robaki żyjące w nieczystościach. Oddajecie waszym bóstwom to, co was najmniej kosztuje: kłęknięcia, kadzidła i śpiewy, ale jakże rzadko gotowi jesteście ofiarować duszę własną i własne życie. Wasze serce nie należy do wieczności, ale podlega brzuchowi, płci, chciwości skłonnej do zabójstw i kradzieży. Bez względu na to, jaka jest wasza wiara, wasza mitologia, wasza teologia, jesteście prawie wszyscy na codzień wynawcami i sługami diabła. Jesteś-

cie dzikimi zwierzętami, stojącymi na tylnych łapach, którzy w życiu codziennym kochają tylko jedno bóstwo — własne ja i jemu służą.

Wydaje się wam na koniec, że jesteście bogaci i potężni a naprawdę jesteście ubodzy i słabi. Wasze bogactwo jest tylko ukrytą nędzą, wasza potęga jest tylko pełnym trudu niewolnictwem, na służbę materii. Narody są wstrząsane i targane przez orkany, które same powodują i które bardzo prędko zaczynają działać wbrew woli. Rządy są jeńcami i ofiarami sił potężnych i gwałtownych, których nie mogą opanować. Ludzi pojedynczych niszcza i łamie burze historii tak, jak drapieżny huragan porywa żdźbła i nasiona. Udało się wam zmusić kilka sił natury do służenia wam, ale maszyny, które miały być narzędziami tej służby stały się waszymi panami. Rozpętaliście siły drzemiące w ziemi i jak tyłu uczeni czarnoksiężnika nie możecie już pohamować ich, ani poskromić. Siła jest wasza wola, ale nieporządna i związana z kłębowskiem namiętności, złudzeń, ambicji, względów, intencji, doprowadziły one do stworzenia potworów, których nie można po-

krócić, doprowadziły do ograniczenia i zniszczenia wolności.

Jesteście więc barbarzyńcami poszukującymi rozkoszy i niedołącznymi niewolnikami zwierzęcych instynktów. Złudnych uciech, narzędzi buntu. Jesteście szalenicami, którzy z miłości do życia niszczą podstawy i sam sens życia. Obłąkanymi, którzy rozdierają siebie własnymi rękami.

Dziś, zubożeli i przerażeni konfliktami, które były źródłem tylu okropności dla zwyciężonych, tylu ciężarów i nowych odpowiedzialności dla zwycięzców, pożądacie i wzywacie pokój. Lecz nie wiecie, jak go odnaleźć. Odzyskać, ponieważ wydaje się wam, że wojna istniała na zewnątrz was, po za wami, była wynikiem wściekłości i zazdrości niewieści, gdy tymczasem wojna jest w was, w duszach wszystkich was. Każdy z was jest nieustannie w stanie wojny z kim innym: ze swoją klasą, ze swoim rządem, ze swoim sąsiadem, ze swoim chlebodawcą, ze swoim współwzrostnikiem, z własnym ojcem lub z własnym synem, czy bratem, z ludźmi najbliższymi i z dalekimi. Każdy z was hoduje w sobie manie, grzechy, namiętności, które skłaniają istoty ludzkie do toczenia siebie przy pomocy wszelkich środków cudzego mienia, pragnienie zniszczenia przy pomocy wszelkich środków przeciwnika, znajduje się, jawne lub w ukryciu, w każdej duszy. Sędziowie, psychiatrzy, spowiednicy i historycy dobrze wiedzą, jak również i w ludziach tak zwanych „uczciwych” są gwałtowne i jadowite podniety do prowadzenia niezliczonych wojen, ukrytych i wewnętrznych, które stwarzają odpowiedni klimat dla wojen domowych i wojen zewnętrznych. Pożądania te, okiełznane przez strach, rozważaj i dobrobyt w czasie pokoju, zrzucają więzy w czasach zamieszek i niepokojów. Czyż należy się dziwić, że narody, które składają się całe z ludzi drapieżnych i żądnych walki i pozwalają prowadzić siebie na wojny, które są tylko olbrzymimi i uznanymi przedsięwzięciami, mającymi na celu kradzież i wyniszczenie? Jak mogłoby się oprzeć naczelnicy państw pokusom do bójki, kiedy rządzą tłumami ludzi występnych, pełnych gniewu, wojowniczych i sami uosabiają te tłumy? Jesteście wojownikami z krwi i kości, a chcecie zakłócić odłacie wojnę. Żywiecie w sobie, codzienne fermenty i osady wojen z bliźnimi, a dążycie do pokoju powszechnego. Jesteście skłonni, każdy na własny rachunek, grabić i zabijać, a chcielibyście, aby narody z was złożone wyrzekły się tej kradzieży, którą jest zdo-

Wytyczne

* * *

Żyjemy w chwili, której jedną z cech charakterystycznych jest stale powiększająca się rola problematyki politycznej. W orbitę zagadnień politycznych wchodzi sprawy dotychczas od nich odległe i każde niemal zagadnienie ma swoje reperkusje w polityce.

Ten stan rzeczy może chwilami stworzyć sugestię, że rozwiązywanie problematyki politycznej jest zarazem rozwiązaniem całości spraw, wchodzących w zakres działalności grup ideowych. Tej sugestii ulegać mogą niekiedy nawet katolicy. A przecież jest ona błędna. Działalność polityczna, udział w mechanizmie rządzenia nie wyczerpuje bogactwa życia społecznego. Poza polityką pozostaje cały szereg kierunków, wysiłków ludzkich z najkapitałniejszym zagadnieniem twórczości na czele.

Miejsce w życiu społecznym, udział w organizacji państwa, prawa wywalczane są dla czegoś i dla kogoś. Wywalczane są dla ludzi, których troską jest byt biologiczny, rozwój duchowy, opanowywanie materii i rozwój osobowości, których troską jest pojęta w sensie doczesnym i metafizycznym twórczość.

Jeśli między tworzeniem miejsc w życiu społecznym, a wysiłkiem, i osiągnięciami twórczymi nie jest zachowana proporcja, następują szkodliwe przerosty i wypaczenia.

Nie możemy być w pełni zadowoleni z wyników wysiłku twórczego nas wszystkich, którzy uważamy się za katolików. Twierdzimy, że zamało, ciągle zamało mamy dokonań intelektualnych, kulturalnych i programowo wychowawczych; że nie wszystkie możliwości zostały wykorzystane. Zmiana tego stanu rzeczy staje się jednym z podstawowych obowiązków, jakie ciążyą na nas w chwili bieżącej.

W kraju...

NA MARGINESIE BUDŻETU
MIN. Z. O.

Sprawa Ziem Zachodnich jest wspólna rozumowi politycznemu każdego Polaka bez względu na wyznawany światopogląd. Należy ona do tych licznych zagadnień typu ogólnonarodowego, gdzie współpraca z obcym marksistowskim wyjada się ze wszechmiar wskazana.

Mamy konkretne dowody na to, że społeczeństwo polskie, zwłaszcza zaś jego kierownictwo, dobrze rozumie konieczność odsunięcia sporów ideologicznych na dalszy plan tam, gdzie chodzi o stworzenie aury przyjaźni organiczemu zrośnięciu Ziem Odzyskanych z Macierzą. Wymownym przykładem takich właśnie jednoznacznych intencji było np. powierzenie tekstu wiceministra Z. O. niedawno zmarłemu śp. ministrowi Czajkowskiemu, który nie należał do żadnej partii. Oczywiście nie chcemy twierdzić, że w praktyce oddolnej rzeczy się mają równo różowo. Najczęściej jednak większość niedomagań na tym odcinku trzeba policzyć na karb opieszłości lub indywidualnych wyskoków i traktować je jako samowolne odchylenia od zasadniczo słusznej linii generalnej. Otwiera się tu pole dla szerokiej inicjatywy ludzi dobrej woli, którzy widząc niedociągnięcia, mają pełne prawo i obowiązki dążeń do ich likwidacji, w oparciu o autorytatywne wypowiedzi osób stojących u steru nawy państwowej.

Uwagi powyższe nasuwają się przy czytaniu sprawozdania z posiedzenia Sejmowej Komisji Skarbowo-Budżetowej, która w dniu 19 bm. rozpatrywała budżet Ministerstwa Ziem Odzyskanych. Dochody ustalono na ponad pięć i pół miliarda złotych. Nadwyżka budżetowa wynosi ponad siedemset milionów.

Akcją weryfikacyjną objęto milion sześćdziesiąt tysięcy autochtonów, która to liczba reprezentuje 20 procent ogólnej masy obywateli polskich osiedlonych na Ziemiach Zachodnich. 36 procent tej liczby stanowią reparaści, 44 procent — przesiedleńcy. Wiceminister Wołski, interpelowany przez posła Strzałkowskiego (SD) w sprawie wysiedlenia Niemców mógł z pełną satysfakcją odpowiedzieć, że nie leży w programie Ministerstwa Z. O. na rok przyszły zajmowanie się tym zagadnieniem.

Oto garść faktów, jakże wiele mówiących.

Swojego czasu przedmiotem namiętnych sporów politycznych była kwestia słuszności stwarzania oddzielnego Ministerstwa dla naszych Ziem Zachodnich. Opozycja jako kontrargument wysuwała obawę, że fakt tworzenia odrębnego resortu będzie uważany przez zagranicę jako objaw słabości i wygrywany przez Anglosasów na poparcie ich tezy o niemieckim charakterze ziem nadodrzańskich. Z perspektywy polskich dokonań na Z. O. powyższe obawy okazały się niezasadne. Jeszcze raz mamy sposobność utwierdzenia się w przekonaniu, że w polityce liczą się jedynie fakty. Ważne jest, że dziś nad Odrą i Nysą mieszka ponad pięć i pół miliona Polaków, lub że do 1 listopada 1947 r. wydano osadnikom 300 tys. aktów nadania.

Zadania na najbliższą przyszłość to m. in. całkowite uwłaszczenie nieruchomości rolniczych i nierolniczych oraz zasianie 1 miliona ha ziemi, która jeszcze w 1948 roku będzie leżała odłogiem.

Nawet najwięksi przeciwnicy przerwania etatyzacji muszą zrozumieć, że zwalenie tych pilnych spraw na barki Ministerstwa Administracji Publicznej lub Min. Rolnictwa groziłoby z naczynym opóźnieniem w wykonaniu zadań najbardziej palących. Dopóki nie zostaną one wypełnione, dopóty istnienie oddzielnego resortu nastawionego tylko i wyłącznie na zagospodarowanie i repolonizację Ziem Zachodnich jest na pewno słuszne i celowe.

bycie obcego kraju i tej rzezi, która jest wojna. Sprawcie najpierw, niech pokój zapanuje w duszach waszych, po czym, z konieczności, pokój zapanuje na ziemi.

Leć wy nie pojmuiecie tej podstawowej sprzeczności, tkwiącej w waszej naturze. Jesteście jak jagnęta o okrutnym sercu, które ukryte za płotem, podziwiają, drżąc z trwogi, ale również z rozkoszy, czyny lampartów i szakali. Leć gotowe są krzyknąć, gdy poczują, że je porywają nielitościwa łapy. Przyjmujecie i uznajecie myśl o wojnie, ponieważ skłania was do tego instynkt, leć po tem chcielibyście uniknąć skutków wojny: upokorzenia po klęsce, ciężarów i odpowiedzialności po zwycięstwie nędzy, głodu, zarazy, rozruchów.

Powiadam wam dziś, z całą miłością, która rodzi się z waszego cierpienia, jaka jest jedyna tajemnica wybawienia: jedność wszystkich ludzi, urodzonych w Chrystusie. Podział niezgoda jest grzechem przeciwko ludzkości. Wojny ze wszystkimi klęskami powstają wskutek tego wyparcia się braterstwa, którego żąda nasz Jedyny Ojciec. Ludzie nie osiągną pokoju, dopóki nie zapanuje całkowita jedność pod znakiem Syna Człowieczego. Jedność polityczna, jedność społeczna. Te dwie ostatnie jedności nie będą możliwe do osiągnięcia bez pierwszej, bez jedności duchowej, a te można osiągnąć jedynie w Chrześcijaństwie. Jedynie wiara w Chrystusa i stosowanie rzeczywiste Jego nauki w życiu, będą mogły czynić z rodziny ludzkiej jedną, kochającą się rodzinę, ponieważ tylko Chrześcijaństwo potrafi zmienić dzikusów w ludzi cywilizowanych, a barbarzyńców w braci. Ludzkość będzie mogła uratować się jedynie wtedy, jeżeli stanie się „katolicka”, to jest powszechna, zjednoczona w jednej wierze i w jednym Bogu.

Przemienić się, aby się połączyć, oto są słowa zbawienia. Porzucić zwierzęce nawyki, aby się ubóstwić. Słuchać wspólnie jednego Boga wcielonego, aby umożliwić wniebowzięcie człowieka (przemienionego). Zadanie, które jest tak trudne, że zbliża się do niemożliwości, leć inna droga nie istnieje. Może przejdą wieki, aby ją przebyć, może tysiące lat, ale trzeba jednak tę podróż rozpocząć. Każda zwłoka zwiększa groźbę niebezpieczeństwa i odległość do przebycia. Ludzie poświęcili zbyt wiele czasu na zdobywanie władzy nad materią. Dziś nadeszła godzina, w której winni się zwrócić ku przekształceniu, poprawie, opanowaniu własnego ducha. Nic nie pomoże zmiana organizacji i rządów, ponieważ człowiek, w głębi duszy jest zawsze wilkiem w stroju pasterskiej hieny w sukni humanitarysty, lisem w toczce demagoga, gorylem w płaszczu mistrza. Metanomom w znaczeniu ewangelicznym jest obietnicą koniecznej zbawczej jedności.

Leć powtarzam: żadna jedność nie jest możliwa bez jedności duchowej. Świat stanie się chrześcijański lub zginię. Nadeszła chwila ostatecznego wyboru. Człowiek musi wybierać. Albo powróci do zupełnego zezwierzecenia, które nastąpiło po upadku, albo porzuci je na zawsze. Stan obecny jest najgorszy ze wszystkich. Człowiek nie posiada szczęśliwości, która jest udziałem zwierzęcia, a podlega żalowi za grzechy, wyrzutem sumienia, skrupułow, które mają źródło w jego boskim przeznaczeniu, odepchnię tym, leć nie zapomnianym. Macie przed sobą tylko dwie drogi do wyboru. Tylko dwie. Będziecie albo zwierzętami, które kończą istnienie na ziemi samobójstwem, albo chrześcijanami, zbawionymi i zbawcami.

Wyrzekliście się chrześcijaństwa, jawnie i w czynie. Leć nie udało się wam uciec przed Bogiem, który wszystkim kieruje, wszystkim rządzi, jest natchnieniem wszystkim. Myśleliście, że unikniecie stosowania przepisów Ewangelii, a wasze błędy zmusiły was do podlegania, siłą rzeczy, prawom jeszcze cięższym.

Wysmieliście Chrystusa, który nie posiadał kamienia, na którym mógłby złożyć głowę i ujrzeć, że wasze domy zostały zwołone; wasze miasta, zniszczone. Wielu z was, musiało się stać, podobnie jak On, wędrownymi zbiegami i ściganymi.

Zapomnieliście o jednej radzie, aby wyrzucić się bogactw, a tak wielu z was utraciło i traci wszystko, co im się zdawało, że posiadają, traci to co było przedmiotem waszej miłości i waszej dumy.

Nie chcieliście przyjąć chrztu z ognia duchowego, który obiecywał Święty Jan i ujrzeć. Jak z nieba zstąpił ogień inny — ogień trwogi i zniszczenia.

Odrzuciliście wszelkie zasady wstrzeźliwości, zakrwawiliście swe ręce w nadziei, że bardziej obficie napachacie brzuchy wasze, a dzisiaj doprowadziliście się do nędzy żebraczej, do przymusowej trzeźwości i do głodu.

Ukochaliście i czcili życie ciała więcej niż na to słusność pozwala i oto niezliczone istoty, ukochane przez was, które były waszą podporą, utracili życie w sposób okrutny.

Peszukiwaliście więcej dóbr materialnych, niż duchowych i oto upragniona materia stała się waszym tyranem: podnieca was do nowych rzezi.

Buntowaliście się wobec Boga i dostaliście się w różnorodną niewolę: władz politycznych, posiadaczy i przywłaścicieli dóbr ziemskich, konieczności związanych z wojną, waszych nieumiarkowanych namiętności.

Czy chcecie tego, czy nie chcecie, od Chrześcijaństwa nie możecie się ochronić. Nie można uratować się od tego, co nas ratuje. Również i w świecie ducha wszystkie próby zaatakowania Chrześcijaństwa lub obrony przed nim, polegające na przeciwstawianiu mu nowych wier i doktryn były tylko naśladownictwem chrześcijaństwa. Wszystkie herezje filozoficzne, wszystkie sekty i kościoły laickie, wszystkie teorie społeczne i rewolucyjne, które mnożyły się w ostatnich wiekach, są tylko próbami przecięcia pojedynczych elementów z syntezy chrześcijańskiej i porzuceniem i zaprzeczeniem wszystkich innych. Leć ten pojedynczy element, który jest zbawczy i skuteczny, dopóki jest złączony z boską syntezą, dokonaną przez Chrystusa, staje się po wyrwaniu go z całości, źródłem niebezpieczeństwa i przyczyną błędów. Taki podział jest również grzechem przeciwko Duchowi. Nie wolno rozdzielać tego, co Bóg złączył. Zasady te oderwane od objawionej jedności, dokonane z uroszczeniem, iż przekształcają się w zasady absolutne i wystarczające same sobie, rozkładają się i jałowięją. Obietnica Raju przemienia się w obietnicę „Kraju wszelkiej obfitości”, obowiązek pracy przemienia się w zabieranie owoców cudzego trudu, przykazanie miłości de generuje się w filantropię, miłość braterska przekształca się w solidarność wyrozumowaną i konwencjonalną. To, co w nadprzyrodzonym świetle nauki chrześcijańskiej było lekarstwem, zamienia się, po przeniesieniu do porządku ziemskiego i ludzkiego w truciznę. Chrześcijaństwo powinno być przyjęte przez wszystkich w całości. Poza nim nie ma pewnego ratunku dla ludzkości, skłóconej ze sobą. Chrześcijaństwo okaleczone jest Chrześcijaństwem, albo wyschłym, albo zdradczym. Istotną poprawę duszy ludzkiej można tylko osiągnąć przez przemianę instynktów i wartości w sposób, nakazany przez Człowieka - Boga. Tablice praw barbarzyńskich muszą być zastąpione przez tablice obowiązków ewangelicznych.

Dwa tylko typy ludzi stają dziś przeciwko sobie: „homo aeconomicus”, człowiek cały oddany życiu materialnemu ze wszystkimi swymi pożądaniami i „homo Dei”, człowiek Boży, z pełnią posiadanej prawdy. Pierwszy panuje obecnie i doprowadził ludzkość na krawędź, która graniczy z całkowitym zniszczeniem życia. Drugi oczekuje w przyszłości

swego królestwa, królestwa zgody i wzności, radości i pojednania. Wzrosty to, co jeszcze przed niedawnymi czasami ukrywało lub osłabiało antagonizm tych dwóch typów człowieka — filozofia, teoria, burżuazja — rozkłada się i ginie. Po piekielnej burzy, zasłony opadły. Dwa sprzeczne ze sobą stanowiska, pomiędzy którymi trzeba wybierać, stały się jawne i widoczne w swojej podstawowej nagości. Z jednej strony wygłodniały barbarzyńca i bratobójca, z drugiej człowiek święty, szlachetny i pełen miłości. Wszystko pozostałe, to literatura. Stajemy przed ostatecznym dylematem: Miłość lub Śmierć.

Tak zwana „cywilizacja”, o której papła prorocy i służebnicy materii może ofiarować człowiekowi tylko jeden ideał: mierny dobrobyt fizyczny, mechaniczny i wyrównany, to znaczy niewolnictwo i niwelacja. Tylko Chrystus mógł obiecać pełną szczęśliwość w wolności i jedności. Jeżeli również stare kultury zachodu, już umierające, upadną wskutek przejściowego tryumfu „homo aeconomicus”, nie należy ani smuć się, ani trwożyć z tego powodu. Prawda chrześcijańska jest prawdą Boską, a więc wieczną. Może być zaciemniona w pewnym okresie, ale nie może ulec zniszczeniu. Ani pieniądze, ani maszyny, ani równość materialna nie potrafią uspokoić niepokoju duszy ludzkiej. Ludzie doświadczyli już, ile łez, krwi i cierpienia powodują i kosztują miły dziecięciniejszy mądrości. Wielkie zasady Ewangelii będą żyć wbrew wszystkim szaleństwom barbarzyńskiej młodzień. Jeżeli próżna chluba triumfów ludzkich oddała od Chrystusa, to klęski doznane i triumfy piekielne prowadzą do Chrystusa z powrotem.

Byliście ongi dzikusami odrętwiałymi i pełnymi strachu, dzisiaj jesteście barbarzyńcami ambitnymi i pysznymi. Zawsze zaś pozostajecie niewolnikami i zabójcami. Dzisiaj powinniście się wznieść ku cywilizacji, która jest ludzką i chrześcijańską. Ogłaszam wam nową erę w historii świata, początek nowej epoki, która powinna mieć inne oblicze i inne miano. Po okresie przedhistorycznym, nastąpiły słynne wieki Starożytności, po nich Wiek Średni, po Średniowieczu, czasy Nowożytności, w których tacy jesteście dumni, leć które zrodziły dla was owoce śmierci i które jawnie są wstępem do ogólnej ruiny. Wiek, na który oczekuję, jest wiekiem jedności i pokoju, królestwem nieba na ziemi, władzy Chrystusa w sercach ludzkich. Z chwilą, gdy ludzie utworzą jedną olbrzymią rodzinę, gdy zostaną wszyscy przywrócić do godności i przekształceni przez Miłość, kiedy wszyscy będą się modlić do jednego Boga, kiedy uznają, nie tylko słowami, nie tylko ze strachu, jedno prawo, wówczas śmiertelni, pogodzeni w Bogu, zwyciężą wszelką groźbę śmierci. Będzie to prawdziwym zmartwychwstaniem człowieka, którego figurą było zmartwychwstanie Chrystusa. Krwawe tysiąclecia barbarzyństwa są naszym grobowcem. Chciałbym być jednym z Aniołów, którzy oświadczyli kobietom, przybyłym bardzo rano do grobu: — „Nie masz go tu”.

Jeżeli modlitwa jednego z nas, posiadającego najbardziej pokorne serce ma taką moc nad Tym, który stał się człowiekiem wśród ludzi, to czy staraliście się wyobrazić sobie potęgę naszej modlitwy, gdy hymn radosnej podziękii wzniesie się wspólnie, w tej samej chwili, w tych samych słowach z ust wszystkich ludzi? Aniołowie się wzruszą, ludzkie serce Marii zdręży z radości, słowa „pragnę” wypowiedziane na krzyżu, doczekają się odpowiedzi, firmament nigdy przed tym nie usłyszy błagania tak radosnego i tak władczego. Najwyższa, nieskończona łaska, którą radość moja zaledwie potrafi przeczuć, będzie odpowiedzią Odwiecznego na choralną modlitwę śmiertelnych.

Powiecie, że to sen i majaczenie zgorączkowanego starca. Jeżeli jest to majaczenie — leć sądzę przeciwnie, że jest przewidywaniem chwili, która nadejść musi — jest to majaczenie, wskutek gorączki, która powinna rozpalić was wszystkich. Gorączki powstałej wskutek mego bólu, w którym nie ma rozpacy, gorączki płomiennej i pełnej szczęścia, zrodzonej z niezmierną miłości, którą czuję dla was. Gdybym was tak nie kochał, jak was kocham, nie cierpiałbym tak na myśl o waszym cierpieniu, na myśl o straszliwym losie, który przygotowujecie sami sobie. Nie rumienię się z tego powodu, że śnię, gdy rzeczywistość stała się dla wszystkich, a nie tylko dla mnie, tak sromotna, przerażająca, jak nigdy przed tym. Jeżeli rzeczywistość dzisiejszych zdarzeń jest przeczczeniem i zapowiedzią odchłani i piekła, to jednak trzeba koniecznie uciekać się do snu i użyć wszystkich naszych sił, aby sen wcielił się w prawdę.

Wiele, zbyt wiele lat spędziłem na ziemi, ale moje serce jest jeszcze młode, ponieważ starałem się, aby nie było dalekie od dzieciństwa uczni Chrystusa. Moja młodość woła wielkim głosem o nową młodość świata. Ten ból, który targa i trawi mnie nieustannie, nie złamał mojej duszy, nie zgasił ognia mojej młodości i gwiazdy mojej nadziei. Stałem się dzisiaj płonąącym krzakiem miłości, który się pali na wysokim szczycie, rzucającym wyzwanie burzliwemu gwarowi stuleci. Z płomieni tego krzaku kieruję do was prośbę, którą sam Bóg do mnie skierował: złączcie się wszyscy, aby stworzyć na ziemi doskonałe Ciało Jego Syna, a zostaniecie uratowani i zbawieni na zawsze. Albo będziecie braćmi, zmartwychwstałymi w wierze w Zmartwychwstałego, albo wszczepionymi w siebie nieprzyjaciółmi, którzy rzucają się w czarną otchłań nicości. Bóg jeden wie, jak bardzo modliłem się i modłę, aby wybór wasz był taki, jakiego On pragnie. Ja żyję tylko dla tej nadziei i dla tej nadziei umrę. Leć również i z tamtej strony życia, będę was kochał, tak jak dziś was kocham, ponieważ jednak jestem człowiekiem, znam waszą nędzę dzisiejszą i pożadam waszego szczęścia w przyszłości. Chciałbym każdemu z was spojrzeć w oczy, uściskać, jedną po drugiej, wszystkie wasze prawice, przycisnąć wszystkich, jednego po drugim do mej piersi, abyście mogli uczuć ogień, który mnie pożera i bicie mego serca. Ponieważ jednak nie jest danem mnie, aż nadto ludzkiemu stworzeniu, moc dokonania takiego cudu, wybaczyć mi, jeżeli moje, dalekie słowa przyniosły wam zaledwie odbicie tego blasku i tego światła, w które chciałbym was przemienić.

CELESTYN VI PAPIEŻ
Sługa Sług Bożych
(H. A. D.)

CZY JEST JUŻ W PARAFI
BIBLIOTEKA DOBREJ
KSIĄZKI

Jeżeli nie, to jeszcze
DZIŚ
JĄ
ZAŁÓŻCIE

Strzeżcie siebie
młodzież i dzieci
przed
złym słowem drukowanym,
Pomoc, instrukcje,
sprawdzone katalogi
i stałe zaopatrywanie

BIBLIOTEK PARAFIALNYCH
DOBREJ KSIĄZKI

Warszawa 12, skrz. poczt. 40
BIBLIOTEKA DOBREJ KSIĄZKI
przy Tow. Przyjaciół Katolickiego
Uniwersytetu Lubelskiego,
ul. Rakowiecka 61.

Juliusz Nowak-Dłużewski

O TYP KULTURY PRZYSZŁOŚCI

Już pod koniec w. XIX dał się zaobserwować w Europie ciekawy prąd, reprezentowany przez niemałą ilość prominentnych intelektualistów, występujących przeciw centralizacji kulturowej współczesnego świata ze wszystkimi jej ujemnymi skutkami.

Proces, o którym mowa, znany jest również i w Polsce. Mniej więcej do połowy w. XVIII układ geograficzny twórczych ośrodków naszego życia kulturalnego występuje równomiernie na całej przestrzeni Polski. Oczywiście, że Kraków, metropolia polityczna i umysłowa kraju, zawsze zachowywał znaczenie centrum polskiego życia kulturalnego, dzieląc tę rolę z Warszawą od czasów Wazów. Mimo tego jednak drugorzędne ośrodki kulturalne mogły żyć twórczym życiem, zachowując dla siebie autonomię wobec metropolii. Wiemy przecie, że talent poetki Jana Kochanowskiego znalazł dla siebie warunki, aby móc zakwitnąć nie tylko na Wawelu, ale i w takim nawet Będzinie, siedzibie biskupów krakowskich. Psalterz Dawidowy jest tego skutkiem. Rozwijający się mecenat kulturalny — duchowny i świecki — tworzy prowincjonalne koncentraty kulturowe, rozłożone na całym niemal terytorium geograficznym Polski. Wystarczy, że tu wspomnę o dworze Czartoryskich w Puławach; mało już brakowało, aby Puławy stały się ośrodkiem specjalnej szkoły literackiej. Dwór króla Stasia dokonał przewrotu: magnes łaski i względów królewskich (nie mówiąc już o dukatach) doprowadził do stopniowej emigracji twórczych na polu kultury osób na dwór królewski. Zabiorczość Warszawy wzrasta, miasto staje się głównym, niejednokrotnie wyłącznym ośrodkiem i dyspozytorem życia umysłowego kraju, potęgując to znaczenie przez cały wiek XIX i XX. Wilno, Kraków i Lwów z trudem próbują rywalizować z tym miastem.

Stało się to z oczywistą szkodą kultury prowincji, systematycznie wyjąłwanej, obieranej z talentów twórczych na rzecz stolicy kraju, jeżeli już nie politycznej, to stolicy kulturalnej.

Zjawisko, o którym mowa, w ostrzejszych jeszcze formach występuje w życiu innych narodów europejskich i to tym ostrzej, im silniej w nich działa proces industrializacji życia narodowego. Gospodarka wielkokapitałowa tworzy pewne większe ośrodki życia gospodarczego; równolegle z tym postępuje również koncentracja życia kulturalnego w Europie, w tych zwłaszcza wypadkach, kiedy kapitalizm zdoła wprząc w swe jarzmo i na swoje oczywiste usługi pracę kulturalną swego narodu czy państwa.

Nic dziwnego, że ewolucja kultury w zaznaczonym kierunku zaczyna budzić w środowiskach ludzi, obdarzonych właściwą wrażliwością sumienia i wyobraźni, reakcję, skierowaną ostrzem nie tyle przeciw tej ewolucji, ile przeciwko skutkom dla kultury narodowej, z niej wynikającym.

Życie współczesne coraz bardziej podlega standaryzacji, staje się wielkomięskie, coraz bardziej jednostajne — pisze historyk kultury w Anglii Farquharson; występuje on przeciw „koncentracji ludności i kultury w Londynie”, która wywołała „odpływ ludzi oraz zainteresowań życiowych od środowisk mniejszych wraz z jednoczesnym rozpowszechnieniem się stołecznej kultury wielkomięskiej, jednolitego szablonu bez poczucia rzeczywistości w każdej bodaj dziedzinie życia”.

Niemiec Sternberg, stwierdzając, że w krajach o centralizacji kulturalnej, jaką widzimy w Paryżu, Londynie albo Madrycie, prowincja została wyjątkowo „domaga się „koniecznego

przeciwdziałania wpływom wielkiego miasta, gdyż jego powierzchowna kultura paczy styl i charakter pierwotnej kultury rodzimej i grozi wyjąłowieniem kraju”.

Na swój sposób i chyba najdobitniej podnosi protest francuski historyk literatury Karol Brun przeciw „wadmiernej centralizacji, ujednostajnieniu wszystkiego i wszędzie (jednostajność nie stanowi o jedności, jest ona tylko jej pospolitym falsyfikatem), przeciw systemowi, który sprowadza odmienność do szablonu”. Oskarża on centralistyczną kulturę francuską o „oderwanie się od życia, pozbawienie oryginalności literatury, sztuki i mody, powodowanie odpływu do Paryża ludzi o najwybitniejszych umysłach”. Poeci i artyści wedle niego przerażeni są widokiem Francji, zmierzającej do jednostajności.

Opinii powyższych mógłbym zacytować więcej. Ale niech to wystarczy. Stwierdzają one jednoznacznie niemal fakt, że urbanizacja jako produkt współczesnej szablonoj i uniformizującej tendencji cywilizacyjnej jest zaprzeczeniem zdrowej różnorodności kulturalnej, wynikającej z dorobku każdego narodu, który to dorobek tkwi w pionowym przekroju jego przeszłości dziejowej i w przestrzennym rzucie jego szerokiej społecznej podstawy biologicznej.

Badacze europejscy, o których mowa, uzasadniają prawo bytu do życia „prowincjonalnej” kultury narodowej względami po prostu naturalnymi. Dzisiejsza tendencja kulturowa w Europie, szablonoj, nakładająca jednolity pokost na każdego członka społeczności duchowej, jest pogwałceniem naturalnej różnorodności, wykreślonej przez rzeczywistość. Urbanizacja jest gwałtem przeciw prawom natury. Taki np. Crocioni na przykładzie swego narodu stwierdza, że „jeden Włoch różni się od drugiego, tak jak jedna dzielnica od drugiej. Każdy Włoch winien być takim, jak tego chce, jak nakazuje natura”. W myśl jego wywodów trafia przeciw wspomniany już Brun, piszący o „ojczyźnie”, która nie jest oschłą i zimną „jednością, lecz harmonijną różnorodnością”, ten sam Brun, który się spotyka z naszym Libełtem w sformułowaniu filozofii narodowej ludu, który „z trudem się wznosi do poczucia abstrakcyjnego patriotyzmu, jeżeli się ustanie czynniki konkretne”.

W analizie kryzysu kultury dzisiejszej, dostrzeżonego przez cytowanych myślicieli, sekundują im również i nasi badacze życia narodowego. Zatrzymam się na dwu głosach.

Franciszek Bujak we wnikliwej swej analizie „cech polskiej kultury ludowej” stwierdza fatalny bieg ur-

banizacji współczesnej cywilizacji europejskiej z jej wszystkimi ujemnymi skutkami: ześrodkowaniem życia narodowego w wielkich miastach, ich podbojem kulturalnym przez obcych, rezygnacją z kultury rodzimej, kosmopolityzmem kulturalnym, upadkiem rodziny i bezpłodnością, zubożeniem biologicznym i kulturalnym prowincji, zanikiem stanu włościańskiego, co zawsze prowadziło w historii do podboju przez obcych. Definitywnie stwierdza „zgrzybiałość społeczeństwa” dzisiejszego.

Władysław Leopold Jaworski stara się pójść dalej i bada „pierwsze przyczyny współczesnego kryzysu kulturalnego, mieszczące się w psychice dzisiejszego człowieka”. Widzi on niebezpieczeństwo, grożące dzisiejszej cywilizacji w hegemonii czynników rozumowych nad czynnikami irracjonalnymi w duszy dzisiejszego Europejczyka. Atomizacja społeczeństw dzisiejszych i ich mechanizacja wynika według niego „z hegemonii racjonalizmu”. Zbawienie widzi w „wydobyciu z upośledzenia irracjonalnych elementów”. Elementy te znajduje nie w mieście, ale na wsi. „Problem przyszłości leży w odnalezieniu harmonii rozumu i uczucia... wieś przepojona jest irracjonalnymi elementami, należy przeto uświadomić sobie owo odrębne myślenie wiejskie, odrębną ideologię wiejską, tak jak wieś powinna wytworzyć sobie własną ideologię i tworzyć własne instytucje” (Notatki 1929).

Z przeważającą negatywnych twierdzeń badaczy cytowanych wynikają oczywiście ich cele pozytywne.

Cele te polegają na oczywistym odwróceniu kierunkowości ewolucyjnej współczesnej kultury europejskiej i polskiej od miast-metropolii do mniejszych ośrodków kulturalnych, do „prowincji”. Prowincję tę reprezentuje zarówno mniejsze miasto, jak wieś. Należy dążyć... „do rozbudzenia ich energii życiowej... do tego stopnia, by każde z nich mogło się stać tym, czym było poprzednio, tj. przybytkiem żywej kultury” (Farquharson). Przyjęcie i upowszechnienie tej tezy kulturowej pociągnie za sobą jasne skutki: zróżniczkowanie elementów kultury narodowej, wielostronność, czerpiąca swe siły z rezerwuaru kilku czy kilkunastu regionów narodowych, nasyci kulturę narodu bogactwem wielorakich jej składników, ożywi ją i dynamizuje.

Całość więc rozumowania zwolenników nowego typu kultury redukuje się ostatecznie, jak widać, do walki konkretno z abstraktem, wielości, różnorodności i bogactwa życia ze strychulcem uniformizmu, jednostkowych prawd z formułą. Ale ostate-

cznie chodzi im o zdobycie nowego człowieka, o przebudowę podstaw osobowości człowieka dzisiejszego. To przecie jest rzeczą najważniejszą. Kultura wielkomięska wytworzyła człowieka o psychice specyficznej, o której trafne uwagi rzuca, jak widzieliśmy, Jaworski. Zasadniczą funkcją duchową tego człowieka jest intelekt, który wszystkiego dowiedzie rozumowaniem. Pod jego tyrańską batutą wchodzi w martwe ramy szablonu nie tylko formy myślenia, ale i całość podobnego do siebie wszędzie typu psychicznego ludzi. W zimnym świetle tego intelektu wysychają nuty żywej i szczerzej wiary, zastąpione wątpliwą religią rozumu lub — co gorsza jeszcze — postawą sceptyka. Zaktualizował się oto symbol lucyferycznych sił kosmosu, które tak plastycznie wcielił Krasinski w postać Masynissy, w ich walce z żywą manifestacją mickiewiczowskich „prawd żywych”.

Farquharson znajduje sposoby, podobnie jak i Jaworski, na wyłączenie hegemonii rozumu w „pełniejszej roli uczucia, inteligencji oraz władz intuicyjnych, skąd droga prowadzi nie tylko do bardziej szlachetnego życia osobistego, ale również do przebudowy gruntownej życia społecznego”.

Nie tylko Farquharsonowi chodzi o powołanie do pełnej roli w życiu, do emancypacji tych wszystkich dyspozycji duchowych człowieka, które zawsze i wszędzie towarzyszyły tworzeniu się kultur narodowych, a więc instynktu i sfery życia podświadomego czy wreszcie tzw. chłopskiego rozsądku. Wszędzie da się słyszeć apel o zejście po wzorw na dół społeczne, o szukanie zbliżenia do postawy duchowej człowieka prostego, jego mocnych prawd moralnych, których mu wszykiowiedzący rozum nie roztopi w alembiku swych sofistycznych dowodzeń, co wszystko prowadzi do uzyskania równowagi wewnętrznej. Już dawno u nas Popławski zauważył ład duchowy chłopu w przeciwieństwie do wiecznego niepokoju (owego „jaskółczego niepokoju” wedle terminologii Słowackiego) czy nawet chaosu psychiki inteligentko-szlacheckiej.

Ten zwrot do źródeł wszelkiej kultury narodowej, do ludu, ludu nie z wielkich skupisk wielkomięskich, ale do ludu wiejskiego, związanego od wieków i zawsze z ziemią i jej prawami, dziwnie przypomina to, co już dawno — przed poszukiwaczami nowego typu kultury — powiedział Prus: ziemia, prosty człowiek, Bóg.

Juliusz Nowak-Dłużewski

W Świecie...

NIEMIECKA CZKAWKA

Sprawa Niemiec wisi nad Europą jak groźny miecz Damoklesa, na razie żywie przypominając: memento mori... Wydaje się, iż mocarstwa anglosaskie, szczególnie USA, gotują się do ostrej gry na zbliżającej się konferencji ministrów „Wielkiej Czwórki” w sprawie Niemiec. Warto zesłać obok pewne fakty, gdy one unaczynają pewną metodę:

1. Dowódca amerykańskiej strefy okupacyjnej gen. Clay ogłosił raport omawiający całokształt niemieckiego przemysłu i produkcji rolnej. Stwierdził w nim, że chaos aprowizacyjny i niedobór żywności w Niemczech istnieje wskutek odebrania Niemcom ziem za Odrą i Nysą. W raporcie tym przemilcza gen. Clay inne, istotne, przyczyny trudności aprowizacyjnych dla anglosaskich stref okupacyjnych.

2. Na posiedzeniu Komisji Kongresu USA dla spraw zagranicznych u n. Marshalla oświadczył, że rząd USA zamierza wydać jako pomoc dla zagranicy do lipca 1948 r. — 2.657 mld dolarów. Z tego Francja, Włochy, Austria mają dostać — 597 milionów, 14 innych krajów Europy — 150 milionów, natomiast same Niemcy (okupacyjne strefy zachodnie) mają dostać — 390 milionów. Rzecz przy tym Marshall: „Odbudowane Niemcy będą w stanie okazać pomoc innym narodom europejskim w stabilizacji ich życia gospodarczego”. Jednym słowem — akurat odwrotnie niż nakazuje europejska logika polityczna, która wolałaby odbudowę Niemiec uzależnić od woli i rozsądku ich sąsiadów, a nie by kraje Europy zależały kiedyś od złej czy dobrej (raczej złej) woli Niemiec już odbudowanych. Logika amerykańska a jest akurat odwrotna, dla nas niebezpieczna. Niebezpieczna dla samej Ameryki. Odbudowane Niemcy zrzucą z siebie przede wszystkim hegemonię amerykańską. Ameryka w ciągu ostatnich 30 lat znakomicie dowiodła, jak dalece interes krótkoterminowy całkowicie załania im możliwości i perspektywy zarysowujące się na długiej politycznej fali.

3. Utworzenie „emigracyjnego rządu gdańskiego” w Bremie (amerykańska strefa okupacyjna) jest wprowadzenie tylko kłopotliwą, ale dość wymowną.

4. Konferencja zastępców ministrów spraw zagranicznych, jaka odbyła się w Londynie, omawiając proceduralne kwestie obrad nad przyszłym traktatem pokojowym z Niemcami — nie może uzgodnić sprawy najważniejszej: jakie narody mają uczestniczyć w obradach: 18 państw, które brały aktywny udział w walce z Niemcami i są specjalnie zainteresowane w układzie sił tak w Niemczech jak koło nich, czy 56 państw biorących w ostatniej wojnie udział po stronie aliantów, udział niestety w znacznej części formalny. Rzecz w tym, iż w razie zwycięstwa tezy ostatniej — prawdopodobnie wszystkie te narody, jako blisko zainteresowane problemem niemieckim, popierałyby stanowisko USA. Ale czy to wyszłoby na korzyść Europy? Niemcom na pewno tak.

RUMUNIA I CZECHOSŁOWACJA

W Rumunii proces Maniu — przywódca partii ludowej i starego polityka — zakończył się nie tylko skazaniem na dożywotnie więzienie głównego oskarżonego, ale ponad to zarzutami pod adresem partii liberalnej, wicepremiera i ministra spraw zagranicznych Tatarescu iż ułatwiała ona działalność reakcyjnych spiskowców. W odpowiedzi na te zarzuty Tatarescu podał się do dymisji wraz z innymi ministrami członkami partii liberalnej. Ministrem spraw zagranicznych Rumunii — po raz pierwszy w dziejach świata została komunistka Anna Pan-

Maciej J. Kononowicz

Bliżej — bliżej — bliżej —

Cudzym krajem zrytym i zdeptanym —

Idę nocą — śmieszny hipnotyzer

W dal wpatrzony, w milczenie wsłuchany.

Wiatr przeciwny i deszcz w oczy sieczce

Idę nocą bez gwiazd, w głąb ciemności

I stopami się wgrzam — i krzyczę:

Bliżej — bliżej — naprzeciw miłości!

Już nie pytam, czy jeszcze daleko —

Nie odróżniam: drogowskaz czy krzyże —

Jestem powrót: bumerang i echo

Bliżej — bliżej — bliżej —

Się mi starczy — bo miłości starczy

I, choć ranny przestrzenią i czasem,

Wiem, że wygram, bijąc wszystkie karty

Sercem silnym jak kierowym asem.

Taki jestem twardy i uparty

Zakochany, śmieszny hipnotyzer

Z objąć twoich przemocą wydarty

Bliżej — bliżej — bliżej —

Co jest szczęście — już myślałem o tym —

Bliżej — bliżej — choć jeszcze daleko —

Dla mnie znaczy: usta twe i oczy

A dla ciebie: bumerang i echo.

Duży, biały budynek nad stawem, otoczony rzadkim laskiem parku łażeniowskiego — niegdyś oficyna królewskiego pałacu, zatracił zupełnie go kongresie wiedeńskim swój pierwotny charakter i przeznaczenie, zamieniony na pomieszczenie dla Szkoły Podchorążych Piechoty, stanowiącej wedle słów prof. Wacława Tokarza „własną ulubioną kreację” wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza — naczelnego wodza wojska polskiego i właściwego namiestnika Królestwa Kongresowego.

Cesarzewicz Konstanty Pawłowicz, o którego niesłychanych wybrykach, fantazjach i awanturach oraz przedziwnej, pełnej niepojętych sprzeczności naturze czuje się w obowiązku wspomnieć każdy ze współczesnych pamiętnikarzy i to zarówno polskich, jak i rosyjskich wraz z dodatkiem całego szeregu przykrych i bolesnych lub też zabawnych wydarzeń, dyktaryjek i anegdot, kursujących w owym czasie po Warszawie, zdawał się jednak szczerze być przywiązany do wojska polskiego, o którym wciąż myślał, które otaczał nieustanną troską i które też doprowadził do niebywałej wprost sprawności fizycznej, doskonałości w mustrze i precyzji w robieniu broni, ale... kochał je oczywiście po swojemu. Wojsko było dla niego ulubioną, a ceną i nader kosztowną zabawką, żołnierz zaś czymś w rodzaju mechanizmu, który za pościąganiem odpowiedniej sprężyny wykonywał mnóstwo najbardziej skomplikowanych obrotów (a bieda nieuczestnikowi co się włos bodaj omylił), oraz manekinem, który opiekuw w swój piękny, paradny mundur, czuł się w nim wprawdzie skrupulatny niby w pancerzu stalowym, nie mogąc ani wejść na schody, ani się schylić do ziemi, ale wyglądał za to imponująco i wspaniale, niby z żurnala wycięty, niby presto z obrazka zdjęty...

Wiele więcej nie wymagał już cesarzowicz od wojska i to zarówno od oficerów, jak i prostych żołnierzy. Żelazna karność, sprawność w mustrze, rzenaganna, świetna prezencja — oto było mniej więcej wszystko. Znane są powszechnie słowa, jakie wyzeł podczas manewrów wojskowych na Placu Broni do generała Franciszka Morawskiego, zasłużonego i bardzo cenionego w swoim czasie poety, wstawionego zwłaszcza pośrednictwem między obozem klasyków a romantyków:

„Ja nie potrzebuję generałów poetów i literatów, lecz żołnierzy. Patrz pan na Strandmana; głupi jak but, ale za to rozumie swoją rzecz. O! takim pan bądź, jak on, więcej nie żądam!”

Z podobnych też względów i pułkownik Skrzynecki nie cieszył się względami Jego Cesarzewiczowato-królewskiej Mości. Bo i prozę, coż to za żołnierz, który wie lepiej co się pisze we francuskich i angielskich gazetach, niż co się w jego własnym pułku dzieje! Takich w wojsku nie trzeba!

Stare, napoleońskie, zamasyte wiarusy, ujęte w skomplikowaną sieć drobniawych, prawdziwie kapralskich przepisów, posuniętych tak daleko, że dla każdej broni ustalały inny sposób strzyżenia włosów, noszenia wąsów itd., nie czuły się dobrze w wojsku polskim. A że i Konstanty n.ezbyt chętnym okiem widział w szeregach butne, marsowe postacie o piersiach pokrytych polekimi i francuskimi orderami, zdobytymi w krwawej walce i trudzie, których dumne karki niezbyt się tam jakoś gięły pod żelazną ręką cesarskiego brata, więc powoli, ale systematycznie oczyszczał wojsko z niepożądanych, nieprawomyślnych, „buntowniczych” elementów. Część oficerów sama dobrowolnie podała się do dymisji, innych przymusił do tego swymi metodami, zastępując ich od razu tzw „oficerami saskimi”, którzy bardziej jakos przypadałi mu do gustu i składniej umieli się dostosować do jego metod i wymagań.

Patrząc teraz na swe wojsko podczas codziennych parád na placu Saskim, na tę butną i piękną szlachtę-ufianów, urodzoną do konia i szabelki, na tych swoich ulubionych „czwartaków” — 4 pułk piechoty liniowej, składający się „z samych prawie oczajduszów i urwopolców”, ale tak świetnie, tak niezrównanie wyćwiczone, „ze wszelkie obroty wojenne wykonywał jakby jeden człowiek, (iż) przy robieniu bronią chrzęst jej był tak niepodzielny, że nie patrząc, tylko słuchając, naibystriejsze ucho nie mogło uchwycić najmniejszej różnicy — zdawało się, że to pojedynczy człowiek robi bronią, nie setki” — patrząc tedy na te cuda sprawności, rozmyślał Konstanty z dumą, że nie ma mocarza w Europie, który mógłby się poszczycić tak pięknym wojskiem jak on. I zdanie to potwierdzało chętnie i skwapliwie wielu wyższych wojskowych i dostojników, zjeżdżających do Warszawy z zagranicy na manewry i popis, a to tym chętniej i skwapliwiej, że kto sobie tylko pozwolił na najmniejszą bodaj uwagę, czy naide-likatniej ukryty zarzut, tracił od razu całą łaskę i przychyłność cesarzowicza.

Generał Aleksy Jermolow, przed którym wielki książę popisował się również swym wojskiem, przestał być od razu „najukochańszym, najszanowniejszym, najważniejszym przyjaciелеm i kolegą”, kiedy upuściwszy niby nieumyślnie chustkę, rozkazał podnieść ją z ziemi wywołanemu z szeregów grenadierowi, którego zręczność i piękne umundurowanie wielki książę przed chwilą wychwalał. Okazało się bowiem wtedy, że „grenadier ściśnięty mundurem i pasami z wielkim trudem zdołał ten rozkaz wykonać...”

Wielki książę dobrze zapamiętał sobie tę scenę, choć Jermolow powstrzymał się od dalszych uwag i ani jednym słowem nie podkreślił swego triumfu.

Jermolow zachowywał się w Warszawie zgoła nie tak jak należało: zupełnie zerwałem z nim stosunki”, wypominał z goryczą jeszcze w parę lat później, nie mogąc przeboleć porażki.

Ale największe już nadzieje co do wojska pokładał cesarzowicz w nowo założonej przez siebie Szkole Podchorążych Piechoty, w której szkoliła się młodzież na przyszłych oficerów według własnej — bardzo nieudolnej i nieudanej zresztą metody wychowawczej cesarzowicza. Cytuję raz jeszcze dzieło prof. Tokarza pt. „Sprzyśnięcie Wysockiego” — Konstanty zwykł był mawiać, że „wtedy będzie miało wojsko polskie dobre, gdy ze swoich podchorążych doczeka się pułkowników i generałów”.

Niestety, przy ówczesnych stosunkach i warunkach, w jakich się znajdowało wojsko Królestwa Kongresowego, zbyt długo przyszyłoby mu czekać na owoce upragnionego plonu, nawet gdyby rewolucja listopadowa nie przerwała w pół wszystkich nadziei, wywracając zupełnie ustalony porządek rzeczy — sprawa awansu bowiem nie przedstawiała się bynajmniej tak łatwo i prosto, jakby się to mogło wydawać. Nie dość było przecie przejść bez zarzutów całkowi-ty kurs Szkoły Podchorążych, wyuczyć się wszystkiego, co w niej było do wyczerpania, i zdać celująco egzamin, odbywany co dwa lata przed wielkim księciem na zniemawidzonym powszechnie placu Saskim — trzeba było mieć jeszcze wolne miejsce do awansu, a miejsce tych najczęściej było brak. Pułki były przepelnione oficerami.

Kiedy w 1825 r. car Aleksander I z okazji swego pobytu w Warszawie przyznał około stu podchorążym awans na podporuczników, „następstwa tego awansu przelodniły pułki oficerami tak, że kompanie zamiast dwóch podporuczników — trzech, a nawet czterech liczyły, a wskutek tego ustały w latach późniejszych na

Wanda Kieszkowska

Prawdziwe oblicze belwederskiej

minacje na oficerów...” (Patelski: Wspomnienia wojskowe).

Podchorążowie, którym po dwóch latach pracy w szkole i szczęśliwie przebrniętym egzaminie, należał się właściwie podporucznikowski ryngraf, zmuszeni byli przepędzić w murach szkolnych po sześć, siedem, a nieraz i dziesięć i kilkanaście lat w zupełnym odcieciu od świata i bezradzonym prawie oczekiwaniu na upragniony, a według rozżalonych słów wychowanków rzadki jak pojawienie się komety awans.

Jeden z wdzięcznych elewów — sierżant Piotr Grudziński, daleki krewny księżny Łowickiej, żony cesarzowicza, przezwany żartobliwie przez kolegów Srulem-Peterkiem dla rudych faworytów, po których miał szpetny zwyczaj się skrobać, zwłaszcza gdy wpadał w wielki ferwor, co zdarzało się zazwyczaj wtedy, kiedy się na swe niebosiężne koligacje powoli wybrał, ten tedy Piotr Grudziński obliczył z matematyczną dokładnością w ciągu kilku dni żmudnej pracy „ile lat potrzeba do życia podchorążemu belwederskiej szkoły, który się już wyuczył komenderowania dywizją, ażeby mógł zostać choćby generałem brygady polskiego wojska” (Patelski).

Rachunek był ścisły i dokładny, oparty na rzeczywistym stanie rzeczy, podkreślający i uwidatniający rozliczne braki, bolączki i niedomaganie — więc zbyt małą w stosunku do obszaru Królestwa Kongresowego i ilości mieszkańców liczbę wojska, kilkunastoletni pęk w Europie, nie dający sposobności rozwinięcia i wykrzania młodych talentów, wysłużenia choćby krwią własną oficerskich szlif, wreszcie zaś stosunkowo młody wiek i żelazne zdrowie „oficerów saskich”, nie stermyślnych bojami, nie wycieńczonych ranami, którzy dorwawszy się do jakiegoś takiego stanowiska — sami w pełni sił, nie myśleli ozywiście o ustąpieniu miejsca młodszym. Tak czy inaczej wreszcie, — wynik rachunku brzmiał następująco: „podchorąży żyć powinien lat 288, miesięcy 9, dni 32, godzin 7, ażeby się mógł doczekać bulionu general-skich”.

Tak drobniawo wyliczenie, dołączające do ogromnej liczby lat, obejmującej trzy wieki niemal, nie tylko miesiące, lecz dni i godziny nawet, wywołało oczywiście humorystyczne wrażenie i tak też zapewne zostało przyjęte: na głowę nieszczęsnego rachmistrza posypały się ze wszystkich stron „poduszki i koce jak grad... i po krótkiej chwili skrobał się Petrek już nie po faworytach za nie miłą przepowiednię”.

Ale prawda ukryta na dnie tego nieco cierpkiego żartu była paląca i gorzka, jak piołun. Wydobyła ona na wierzch z brutalną szczerzością to, o czym sami podchorążowie dobrze wiedzieli od dawna: że nie było dla nich żadnej przyszłości, żadnego po prostu miejsca w życiu. A była to przecież wszystko młodzież z dobrych, starych rodzin, zadzierzasta i pełna fantazji, w rozkwicie lat młodości, wyrwana z siebie i tęsknie do życia, którego była zupełnie pozbawiona, trzymana w szkole ostrym rygorem, niby w koszarach lub... według określenia innych... w klasztorze.

A rygor był twardy, ograniczenia znaczne...

Za jeżdżenie dorożką po mieście groziła miesięczna kara aresztu, wstęp do lokali publicznych był podchorążym surowo wzbroniony, balony, teatry, kawałki również niedozwolone.

A przy tym... i osławiona metoda wychowawcza cesarzowicza, z której był tak dumny i po której sobie tak

świetne owoce obiecywał, zdolna była po paru latach najbarziej uległy i spokojny element przemieniać w łom w każdej chwili gotowy do wybuchu doprowadzając wszystkich i to zarówno profesorów jak i wychowanków do prawdziwej rozpacz i śmiertelnego znużenia.

Bo i czegoż to tam uczono w tej osławionej Szkole Podchorążych Piechoty?!

Na pierwszym miejscu stała oczywiście wszechpotężna musztra, — podchorążowie rozpoczynali służbę frontową od szkoły prostego rekruta żołnierza, a kończyli na nauce komenderowania i operowania całą dywizją. Duży nacisk położony był także na znajomość komendy rosyjskiej w równej mierze jako i polskiej. Nauka fechtowania i pływania oraz specjalne ćwiczenia mające na celu wyrabianie głosu do komenderowania, dopełniały strony zajęć praktycznych, które poświęcony był cały niemal dzień do szóstej popołudniu, o której to godzinie zbierali się podchorążowie na wykład teorii, obejmujący znajomość regulaminu piechoty, którą każdy z wychowanków musiał znać na pamięć jak pacierz. I to było wszystko Komu zaś ten skąpy zasób wiadomości nie wystarczał, musiał już na własną rękę starać się o pogłębienie swej wiedzy, zużywając na ten cel okrucy czasu wolnego od zajęć lub sobotnie i niedzielne popołudnia, kiedy podchorążowie mieli prawo korzystać z przepustek na miasto.

Nie dość jeszcze na tym, bez względu na ilość lat spędzonych w szkole, opanowany bez zarzutu materiałem, udany egzamin itd. podchorążowie musieli zawsze zaczynać swe studia od początku, powtarzając rok rocznie w kółko jeden i ten sam, żądny zmianami nie urozmaicony kurs.

„Nauka i umysłowe wykształcenie podchorążych było wielce zaniedbane, „stwierdza cytowany już parokrotnie Patelski”, a dopiero ku schyłkowi szkoły”, (z nastaniem generała Trębickiego na komendanta), „poczęło uczyć rachunków topograficznych, wyrobu materiałów palnych i wykładać matematyki wyższej, artylerii i nieco strategii”.

Lecz wtedy na wszelkie zmiany było już za późno...

Ze młodzież trzymana w takich warunkach, przez tyle lat duszona w zamknięciu, wbrew przestrogom starszych i doświadczonych oficerów, ostrzegających cesarzowicza przed niebezpieczeństwem takiego systemu wychowawczego, była materiałem bardzo podatnym na agitację wszelką robotę podziemną, stanowiąc wedle słów prof. Tokarza „broń bardzo ostrą i zawsze gotową do użycia” — trudno się temu dziwić naprawdę. Nie mając zbyt wiele do stracenia w życiu, gotowa była na najbardziej szaleńczy, desperacki krok. Miłość ojczyzny, pragnienie odzyskania wolności spręgło się w jeden cel z pragnieniem dążeń osobistymi. Więc wyżsi oficerowie z wielką niechęcią i nieufnością, a nawet troską i niepokojem wietrzyli wiszącą w powietrzu zawieruchę, młodzież płonącą żądzą czynu, rwała się do niej po prostu całą siłą młodych ramion, każdym drgnięciem rozdygotanych oczekiwaniem serc.

Z licznych pamiętników, wspomnień i obrazów znamy dobrze „oblicze” Szkoły Podchorążych, jej wychowanków i elewów. Żartobliwe i wesołe, czy też smutne i groźne, nabrzmiałe karty ukazują nam kolejno osoby odkrywają zdarzenia ożywiające przez przeciąg lat kilkunastu duży, biały budynek otulony cieniem starych

drzew parku łażeniowskiego. Oto pułkownik Ołędzki, długoletni komendant Szkoły, z pozoru twardy, ostry i niewzruszony, w głębi zaś ojcowski, sprawiedliwy i wyrozumiały, grzeszący może zbytnią słabością i uległością w stosunku do cesarzowicza, ale kochany i szanowany przez wszystkich. Porucznik Bortnowski, przewzany powszechnie „Bortnosiem” — to znów figura raczej pocieszna i humorystyczna w dziejach Szkoły. Służbista nieugięty o szorstkiej, gniewliwej powłoce, sercu gołębi i dobrodusznym usposobieniu, — padał najczęściej ofiarą wszystkich figlów i psot podchorążych. Rycerskie oblicze Piotra Wysockiego, podporucznika grenadierów gwardii ma też swoją wymowę. Wzorowy instruktor — pilny, pracowity, tą pilnością i pracowitością nadrabiający brak przyrodzonych zdolności i polotu, konduity nienagannej, przesuwa się po korytarzu z twardą poważną i skupioną, otoczony kołem najbliższych „wtajemniczonych”. A dalej następuje barwny korowód wychowanków, którzy przewinęli się przez mury Szkoły Podchorążych Piechoty w ciągu kilkunastu lat istnienia Królestwa Kongresowego. Znany ich wielu z imienia, przezwiska, drobnych, charakterystycznych szczegółów i wydarzeń życia codziennego. Oto więc drobny i szczupły Adam Raczynski, późniejszy major wojsk polskich, przezwany nieco złośliwie „generałem” dla protekcji i opieki, jaką go otaczał generał Kruskowiecki, daleki krewny Raczynskich, dalej idzie Kassius, chłop jak dąb, słynny ze swej siły i urody, pamiętnikarz Józef Patelski — żołnierz na schwał, wybierany zawsze do „posyłek” składających raport przed cesarzowiczem i carem; dalej znany nam już ze swych oryginalnych obliczeń, gadatliwy jak szczygiel, Piotr Grudziński, Srulem-Peterek, ze swymi rudymi faworytami i niebosiężnymi koligacjami, biały i różowy Jaś Szembek, bratanek generała i wreszcie — pierwsza do figlów i psot — hoża, urocza „Zarebianka” itd. itd. Tytuł ich tam było przecie...

Dwustu kilkudziesięciu ludzi liczyła w ostatnich latach swego istnienia „belwederska” Szkoła Podchorążych Piechoty. Dwieście kilkadziesiąt gorących serc, zapalnych głów i młodych, silnych ramion! Jak w każdym większym zbiorowisku ludzkim ścierały się zdania i charaktery, tworzyły wedle wspólnych upodobań i przyjaźni małe kółka i kółeczka. Głębsza i poważniejsza „młodzież spiskowa, złączona wspólną przysięgą, tajemnicą i celem trzymała się nieco na uboczu od innych, tak zwane „eleganci” wymykający się skwapliwie przy każdej nadarzącej się sposobności do miasteczka na rodzinne i towarzyskie przyjęcia, umizgający się chętnie i chciwie do panien i mężatek, stanowili znów inną grupę, byli wreszcie i tacy, co z największym upodobaniem szukali niewybrednych rozrywek po szynkach, co było oczywiście surowo wzbronione i przez „śledzi”, jak w owych czasach nazywano policję, ostro karcone i tępione, inni jeszcze zużywali cały wolny czas, siły i energię na wymyślanie przeróżnych, coraz to nowych, bardzo uciechszych nieraz psot i figlów, za pomocą których starano się rozerwać i urozmaicić monotonną szarżynę koszarowego życia, wypełnić pustkę, a może też... skrócić nieco oczekiwanie na te wielkie, doniosłe wydarzenia, na jakie się zanosilo, jakie wszyscy czuli w powietrzu. Młodość ma swoje prawa i z całą bezwzględnością szuka uścia dla trawiącej ją energii.

szkoły podchorążych piechoty

Znaczna część pomysłów obracała się oczywiście około najrzeczniejszego obejścia przepisów szkolnych, mając za cel praktyczny wydobycie się na miasto w dzień, kiedy nie udzielano przepustek, albo też gdy się tam który wybierał na jakąś niedozwoloną eskapadę. Ponieważ pułkownik Olędzki co wieczór osobiście obchodził sale sypialne w towarzystwie oficerów inspekcyjnych, podchorążowie tedy, którzy nie mogli być obecni przy wieczornej kontroli, musieli się jakoś sprytnie urządzać, by ta samowola nie wyszła na jaw. Szło im to zazwyczaj dosyć gładko nawet, co znakomicie ułatwiał fakt, że w Szkole Podchorążych sypialnie znajdowały się na dole i na górze i że prowadziły do nich dwojakie schody — paradne i służbowe, boczne. Podchorążym zatem, wybierając się bez przepustki do miasta musiał sobie wczasu zamówić koleżę, którego rola polegała na tym, by kiedy Olędzki obszedłszy starannie dolne sypialnie, kierował się na piętro paradnymi schodami, popędzić od razu co tchu na górę po służbowych, już oczywiście schodach i wyprzedzwszy pułkownika, zając po raz drugi miejsce w szeregu, — tym razem już nie swoje, lecz zastępując w ten sposób nieobecny. Jeżeli podchorąży miał zamiar dłużej zabawić na mieście, a nawet noc całą spędzić na zabawie, pojawiając się dopiero przy rannym apelu, radzono sobie przeważnie tak, że kładło się na łóżko manekin zakryty kocem, aż po głowę, by puste miejsce nie przyciągnęło przypadkiem uwagi oficera inspekcyjnego.

Podchorążowie jazdy składający się głównie z młodzieży bardzo zamężnej i wysoko ustosunkowanej, a zatem pozwalający sobie na znacznie większą swobodę i wybryki, urządzali się jeszcze wygodniej, gdyż korzystając z tego, że karetą i konie generała Tomasza Lubieńskiego stały w ich stajniach, wciągnęli do swego spisku woźnicę, z którym zawarli tajemną umowę, a który za odpowiednią zapłatą co dzień jednego z nich, ukrytego w generalskiej karecie, odstawiał do miasta i przywoził z powrotem. Ten stan rzeczy utrzymywał się wcale długo ku obopólnemu zadowoleniu woźnicy i podchorążych, kres nadużyciu położyło dopiero gadulstwo i przechwałki jednego z wychowanków, który zwierzył się z tym fortelem jakiejś ciotce, czy kuzynce, a ta oczywiście puściła od razu tę wiadomość dalej między swe przyjaciółki. Plotka w mgnieniu oka obleciała całą Warszawę, dotarła z kolei do władz szkolnych i... skończyło się oczywiście na wielkiej awanturze i przykładowym skarceniu winnych, przy czym pół szkoły powędrowała do lochu.

Na te tony właśnie samowolnych wycieczek do miasta i spóźnionych powrotów zdarzały się nieraz bardzo zabawne, pełne humoru sceny.

Oto na przykład podchorąży Kassius miał pecha, że wymknąwszy się do miasta i zasiedziawszy się tam dłużej niżby należało, natknął się w drodze powrotnej na pułkownika Olędzkiego, który właśnie powracał z podchorążówki po wieczornej inspekcji. Kassius, który leciał rozpedzony, pragnął zdążyć na czas do apelu, wpadł tak blisko na pułkownika, że o cofnięciu się i zręcznym wyminięciu niebezpieczeństwa nie mogło być nawet mowy. Podchorąży Kassius znał swoją powinność. Nie tracąc przytomności umysłu wyprężył się służbiście, zasalutował elegancko i... uczyniwszy w tył zwrot wziął energicznie nogi za pas, mając nadzieję, że w ciemności uda mu się ująć niepostrzeżenie, a co ważniejsza i niepożnanym. Ale pułkownik Olędzki

miał zbyt bystre oczy i zbyt dobrze też znał swych wychowanków, by się dał tak łatwo wywieść w pole. Poznawszy od pierwszego rzutu oka winowajcę, zawołał ostrym głosem:

— „Kassius, stój!”

Kassius, jednak był już dość daleko, by mógł uciec na upartego, że nie słyszy, wyciągał więc tylko czym prędzej, swe długie nogi i... ani myślał o zatrzymaniu się.

Pułkownik ze swej strony nie dając za wygraną, puścił się za nim w poгон. Ale choć Kassius, chłop na schwał, drząc o swoją skórę, pomykał przed siebie rączo i chyżo niby jeleni, czego nie dałoby się w żadnym wypadku powiedzieć o pułkownikowi Olędzkiemu, to jednak pułkownik miał tę przewagę nad podchorążym, że wysięg taki nie mógł trwać bez końca, że lada chwila mogła nadjechać dorożka, za pomocą której zbieg zostałby bez trudu dognany i sromotnie pojmany. Licząc się tedy z tą ewentualnością, Kassius rozglądał się rozpaczyliwie w koło, w poszukiwaniu jakiegoś bezpiecznego schronienia i ujrawszy przed sobą pierwsze drzwi otwarte od ulicy wpadł w nie bez tchu prawie, ułajając od proga:

— „Schowajcie mnie, gdyż pułkownik mnie goni!”

A trafił, nie wiedząc o tym, do magła. Praczki widząc przed sobą chłopca jak malowanie, w lubianym powszechnie i popularnym w Warszawie mundurze podchorążego, zakrzyknęły się przy nim od razu rażno i ochoczo. Za schronienie posłużył mu ogromny kosz do bielizny, który usłużne praczki wywróciły do góry dnem, „długi zaś Kassius zrobił się w tej krytycznej chwili tak małym, że się pod nim schował zupełnie” i kiedy w chwilę później pułkownik widział dobrze, do jakich drzwi wbiegł podchorąży, stanął zdyszany w progu, zastał już wszystko w najzupełniejszym porządku. Praczki maglowały w najlepsze, udając, że nie dostrzegają wcale pułkownika, rozglądającego się nieufnie po izbie, niewidzialny zaś Kassius siedział w swym koszu cicho, jak mysz pod miotłą.

— „Gdzie jest podchorąży, który tu wszedł?” — rzucił pułkownik groźne pytanie.

— „Podchorąży?” — udały praczki wielkie zdziwienie — „żadnego podchorążego tu nie było”.

— „Jak to nie było, kiedy sam widziałem jak tu wszedł!” — obruszył się Olędzki.

Widząc zaś, że dobrowolnie nie wydobędzie żadnych zeznań od kobiet, które najwidoczniej znajdowały się w znowie z Kassiusem, zaczął sam „zaglądać we wszystkie kąty, pod magiel...” Wszystko na próżno! Kassius, jakby pod ziemię się zapadł. Ale pułkownik Olędzki umiał znaleźć wyjście z honorem z tej nieprzyjemnej dla siebie i... nieco śmiesznej sytuacji, w jakiej się znalazł. — Stanąwszy na środku izby, rzekł:

— „Słuchaj, Kassius ja wiem na pewno, że ty tu jesteś, ale daję ci słowo honoru pułkownika Olędzkiego, że ci ten raz daruję, tylko się pokaż!”

Wielkie musiało być zaufanie podchorążych do swego dowódcy i wiara w jego słowa, skoro na ten apel „Kassius jednym susem wyskoczył spod kosza, stanął do frontu, salutując swego kochanego pułkownika. Olędzki się roześmiał i pogroziwszy mu tylko palcem na nosie wyszedł i na tym się wszystko skończyło...”

Innym znowu razem, kiedy Adam Raczyński z przyjaciół swym Orda zapoznali się na jakiejś zabawie, tak iż zachodziła obawa, czy i na porannej pobudkę zdąży, a wzięcie dorożki było rzeczą najsurowiej wzbronioną i karana — ogromny, barczysty Orda

wsadził sobie bez namysłu drobnego i szczupłego Raczyńskiego na plecy i przebiegłszy z nim spory szmat drogi wyciągniętym kłusem, spuścił go na ziemię przed samą Szkołą Podchorążych dopiero.

Zabawne zdarzenie, którego bohaterem był podchorąży Edmund Zaręba i podporucznik Bortnowski, ten przez wszystkich wyśmiewany i zdrowo okpiwany, ale też i serdecznie kochany „Bortnosio” — przekazuje nam również pamiętnikarz Patelski.

Oto w godzinach wolnych od pracy i przeznaczonych na odpoczynek, w niedzielę i w święta, a już „szczególniej w zapusty”, zabawiali się często podchorążowie tańcząc zapamiętałe między sobą. Za salę balową służyła im wielka jadalnia z krzesłami i stołami pokładanymi na stos, na których sadzawili się zazwyczaj muzykanci, różąc od ucha ulubione melodie na tak wyszukanych instrumentach jak, gitary, a choć melodyjne ich tony rozdziarały słuchaczom uszy, według barwnego określenia Patelskiego, to jednak ochota panowała tak szczerą i radosną, że niejedną prawdziwą bał mógłby im pozazdrościć nastroju. Otóż razu pewnego, gdy w Warszawie karnawał huczał w pełni, a podchorążowie myśląc z zazdrością o wspaniałych balach i „assamblach”, trochę melancholijnie zabawiali się zwykłymi tańcami, wtargnęły nagle do szkolnej jadalni dwie młode, a wcale ładne i hoże panny. Były to... podchorąży Zaręba i jego przyjaciel, którego nazwiska nie przekazał nam pamiętnikarz, bo go i sam zapomniał, a który wybrałszy się w niedzielę w odwiedziny do rodziców Zaręby, przebrał się przez pustotę w suknie jego siostry, włożone na podchorążowskie mundury i tak ustrojeni zajęchali z wielką pompą dorożką przed gmach Szkoły Podchorążych. Warta złożona z kolegów rozpoznawszy bez trudu kogo miała przed sobą, wpuściła ich oczywiście do środka, zaś zebrani na sali podchorążowie hucznie urządzili owację, głośno wyrażając swą radość z powodu tak miłej niespodzianki. Nie było chyba „panien” święcących głośniejsze triumfy i cieszących się większym powodzeniem w gronie męskim, co nasi dwaj figlarze. Przechodząc po prostu z rąk do rąk, przez wszystkich wrywani, całowani i ścisłani, a „hulano z nimi, jak z baletnicami”. Niezwykły hałas i ożywienie zwabiły wreszcie i porucznika Bortnowskiego na salę. Bo i cóż to się tego dnia z podchorążymi działo? Skąd ta wrzawa i niebывалы wprost harmider?!

Gdy stanął w progu i ujrzał gromadę podchorążych cisnących się do około dwóch fertycznie wyglądających panienek, ścisłających je i całujących bezwstydnie, a zapamiętałe, zamienił się — w pierwszej chwili oczywiście — w słup soli od oburzenia i grozy. Kobiety w Szkole Podchorążych! Też jeszcze brakowało! Taka swawola przekraczała już granice wszelkiej przyzwoitości i domagała się surowej kary. Otrząsnąwszy się z osłupienia z wielkim gniewem rzucił się naprzód, Podchorążowie zaś ogarnąwszy w lot sytuację i z góry pewni bezkarności, ani myśleli o wyprawieniu go z błędu, lecz bawiąc się w najlepsze, udali wielki przestęp i w robionym popłochu rzucili się do ucieczki. Bortnowskiemu gonił wzięcie po całej sali, za cel swoich trudów obrawszy oczywiście domniemane „panienki”, one zaś uciekały zwinnie, przemijając się zręcznie między jego rękoma, aż spódniczki furgotały za nimi, a wiew szedł po sali. Coż to była za uciecha patrzeć na to widowisko! Zziębnięty, zmęczony i epocony, ale triumfujący depnął porucznik Bortnowski wreszcie swych

ofiar. „Panny” w płacz. Na ten widok podchorążowie świetnie wczuwający się w swą rolę obrońców, rzucili się gromadnie do srogiego Cerbera, prosząc i zaklinając na wszystko, by je puścił wolno i nie robił skandalu, tłumacząc przekonywująco, że to panienki z bardzo dobrych rodzin, że taka kompromitacja, raz na zawsze odbierze im dobre imię itd. Wszystko na nic. Bortnowski był nieubłagany. „Panny” poszły pod klucz do kozy, a sam Bortnowski zaalarmowany i nie na żarty tym wybrykiem przerażony, popędził od razu do pułkownika Olędzkiego z raportem.

Tymczasem już w nocy została dokonana zupełna „zmiana dekoracji”. Siedzący w kozie podchorążowie zdjęli ze siebie siostrzane spódniczki, staniczki i kaftaniczki i wszystkie te części kobiecego stroju podali przez kratę kolegom, którzy ze swej strony ukryli je starannie w siennikach, podczas gdy sami więźniowie — już w zwykłych mundurach podchorążych — w spokoju oczekiwali na srogi zapewne wyrok.

Nazajutrz, jak to było do przewidzenia, wybuchła wielka awantura. Przed frontem szkoły podchorążych pojawił się pułkownik Olędzki zmarszczony i gniewny, który wypalił do nich surową i pełną nagany przemowę. Podchorążowie wysłuchali jej z należytyim szacunkiem i skupieniem, ale i widocznym zdumieniem. Kobiety?!!! Nie widzieli i nie słyszeli nie o żadnych kobietach! Owszem, tańczyli wczoraj wesoło, a ochoczo, ale tylko między sobą, śmieli się też i hałasowali niebывалы, to była również prawda, lecz nawet w głowie nie powstała im żadna kobieta. Porucznik Bortnowski wpadł wprawdzie na salę, przerwał im zabawę, dwóch kolegów zapakował bez widocznego powodu do kozy, a wszystkich rozgonił po kątach, nie znając wszakże istotnej przyczyny jego gniewu, przypisywali ją po prostu napadowi złego humoru.

Tyle bezcelności nie mogło się pocziwemu Bortnowskiemu w głowie pomieścić. Zaufany w namacalne „dowody” winy podchorążych, oczekujące w kozie w płaczu zapewne i skrusze na wymiar należnej sprawiedliwości, uroczystym ruchem wyciągnął klucz z kieszeni, własnoręcznie otworzył drzwi i... odskoczył od nich od razu, jakby diabła zobaczył. Na drewnianych zydlach siedzieli skromnie i potulnie z niewinnymi minami nasi dwaj podchorążowie. Wzięci na spytki i oni wszakże nie umieli nic nowego dorzucić do zeznań swych kolegów — ustalonych oczywiście już poprzednio z wspólnym porozumieniem — oświadczając, wprost, że poza niezrozumiałym wybuchem gniewu porucznika Bortnowskiego, nie znają innej przyczyny swego uwięzienia.

Nad wyraz zabawna zwłaszcza dla eprawców figla, musiała to być scena. Żelazna dyscyplina nie pozwalała podchorążym na najlżejszy nawet cień uśmiechu, podczas gdy serca trzepotały się w piersiach młodzieńczą radością i rozbawieniem. Pułkownik Olędzki po bezskutecznych zapewne wysiłkach, by zachować objętny i niewzruszony wyraz twarzy — „roześmiał się na głos i całe zdarzenie sennemu rozmarzeniu Bortnowskiego przypisał”, zaś porucznik Bortnowski, pocziwy, oszukany „Bortnosio” ukradkiem znak krzyża na piersiach nakreślił, odgęgnając się od szatana i dzieł jego i... wietrząc jednak — nie bez słusznego jak wiemy — jakiś podstęp ze strony podchorążych, spiął tylko z pogardą przed siebie. Całą eprawę zatuzowano.

„Zaręba został odtąd Zarębianką, jeszcze więcej kochaną od wszystkich. Nikt go imaczej nie nazywał nawet i wówczas, gdy został podporucznikiem w 1-szym pułku piechoty liwowiei.

W krwawym boju pod Białoleką polegli za ojczyznę, zwiędziony Bortnowski i hoża Zarębianka...”

Takie oto były dzieje, niedole i psoty, takie było oblicze belwederskiej Szkoły Podchorążych Piechoty.

I dopiero noc 29 listopada wyrwała wszystkich z martwoty i odrętwienia, zwracając ku nowemu, pełniejszemu życiu... Wanda Kieszkowska.

Nadesłano

„VERBUM” KSIĘGARNIA JEDNOSC, KIELCE

Kostecki, O. P., O. Romuald — ŚWIĘTOSC NAJSWIETSZEJ MARIJI PANNY. Wydanie drugie poprawione. Str. 45 + 3nłb.

Ks. Józef Makłowicz — MAŁY KATECHIZM KATOLICKI. W dodatku przygotowanie do Spowiedzi i Komunii św. Wydanie dziewiąte. Wrocław 1946. Str. 66.

Kazubek Cz. i W. Zubrzycki — METEOROLOGIA DLA MARYNARZY. Wiadomości praktyczne. — Ustka 1947.

POLSKI INSTYTUT SŁUŻBY SPOŁECZNEJ, ŁÓDŹ

Krzeczowski Konstanty — POLITYKA SPOŁECZNA.

Rychliński Stanisław — LUSTRACJE SPOŁECZNE.

KSIĘGARNIA SW. JACKA KATOWICE

Drużbacka D. Anna, dr. — MODLITWA, KTÓREJ NAS NAUCZYŁ SYN BOŻY. Str. 61 + 3nłb.

Ks. Gryglewicz F. (objaśnił) — EWANGELIE I DZIEJE APOSTOLSKIE.

H. F. — NASZ TABOR. Str. 32.

O. C. Karg O. M. Cap. — MAŁA TAJEMNICA. Str. 60 + 2nłb.

Pfeil, dr. H. — TRAGIZM NEGACJI BOGA Tłum. A. C., str. 23 + 1nłb.

Sawicki, ks. dr. prof. — U ZRODŁÓW CHRZEŚCIJAŃSKIEJ MYŚLI FILOZOFICZNEJ (św. Augustyn — św. Tomasz z Aquinu — mistrz Eckhart). Str. 157 + 3nłb.

Wilk, ks. dr. Karol — ŚW. BENEDYKT PATRIARCHA ZACHODU. Z uwzględnieniem wielkiej roli św. Wojciecha w Polsce. Str. 35 + 1nłb.

KSIĘGARNIA STEFANA KAMINSKIEGO W KRAKOWIE

Bertoni Karol — PRAKTYKA DYPLOMATYCZNA I KONSULARNA część I. Str. 120 + 4nłb.

PSALTERZ RZYMSKI przełożył z łaciny ks. dr. Franciszek Mirek. Str. 262 + 2nłb.

Prwarski Kazimierz, prof. Uniw. Jagiellońskiego — PRUSY WSCHODNIE W DZIEJACH POLSKI.

Podkowińska Zofia — CZŁOWIEK PRZEDHISTORYCZNY NA ZEMLIACH POLSKICH. Str. 85 + 1nłb.

Słowacki J. — WLLADYNA.

Szewski W. — MAKRET.

Ujejski K. — MARATON I SKARGI JEREMIEGO.

Lipska L. — NAUKA PISANIA NA MASZYNE.

Nalecz A. — KRÓTKI INFORMATOR MOTOCYKLOWY.

„ALBERTINUM”, KSIĘGARNIA SW. WOJCIECHA POZNAŃ — WARSZAWA — LUBLIN

Kozubski Zygmunt, ks. dr. — PODSTAWY ETYKI PECHOWEJ.

Spikowski, ks. dr. Władysław — LITURGICZNA MSZA SW. WIERNYCH. Str. 52.

GEBETHNER I WOLFF, WARSZAWA

Kaden-Bandrowski Juliusz — W CIENIU ZAPOMNIANEJ OLSZYNY. Str. 238 + 2nłb.

Orkan Władysław — KOMORNICY. Str. 160.

KSIĘGARNIA ZIEM ZACHODNICH, POZNAŃ

Mariański Andrzej — ZACHODNIA GRANICA POLSKI NA ODRZE I NISIE. Str. 29 + 3nłb.

Muszyńska-Zygmańska J. — WIELKOPOLSKA W POWSTANIU KOŚCIUSZKOWSKIM. — Nakładem Głównego Komitetu Kościuszkowskiego w Krakowie. Str. 189 + 3nłb + 1 tablica.

Otrębski Jan, prof. — SŁOWIANIE. Rozwiązanie odwiecznej zagadki ich nazw.

Tydzień kulturalny

KAZUISTYKA

W pewnych kołach zwykło się mówić o jezuickiej kazuistyce z dodatkiem rozmaitych nieprzyjemnych aluzji.

A tymczasem w wolteriańskiej „Kuznicy” czytamy:

„Jest więc zrozumiałym, że jeżeli podkreślamy „uczciwość” Maurrasa, nie chodzi nam o to, żeby „przyznać lojalnie...”. Robimy to wyłącznie po to, żeby uniknąć jakichkolwiek cieni, przeszkadzających w zrozumieniu tego człowieka. Zresztą u ludzi bardzo wysublimowanych, wysublimowanych do najwyższego stopnia (czyż nie oddać Maurrasowi tego komplementu), uczciwość osobista jest cnotą niemal znikomą etycznie. Człowiek, wierzący w prawdę swego poglądu na świat, walczący o nią i tyle już razy bliski zwycięstwa,

które ma mu dać szczęście, dlaczego miał być „nieuczciwy”, osłabiając przez to (i to jak trywialnie!) swój prestiż polityczny? Nie, jest oczywistym, że Maurras działał bezinteresownie, „z najczystszych pobudek ideowych”. Problematiczne jest tylko jedno, mianowicie, czy same pobudki ideowe Maurrasa były czyste. Niech żyje Voltaire!

BYLE NIE KONIEC

Nareszcie wyszedł zapowiadany od dawna tom wierszy Baczyńskiego. Tym samym jeden z poległych poetów czasu wojny doczekał się już zbiorowego wydania, za jakie „Śpiew z pożoگی” może być uważany.

Ale niech to nie będzie początek milczenia. Pozostali zmarli czekają swej kolejki. Zebrać, opracować, wydać. Uwaga firmy wydawniczej! Trud

nie tylko obowiązujący, lecz i pomną więcej. Nas nie zawstydzi Sidney Keyes ani Alun Lewis. Wystarczy ukazać światu krew naszych poetów, rozprysną na bruku i kartach — rękopisów.

NA MARGINESIE DWÓCH PREMIER FILMOWYCH („Wesoły sublokator” — „W cieniu podejrzeń”)

Zadziwiająca jest skąd na ekranach Warszawy bierze się tyle nieznanych w Europie, a najgorszych chyba filmów produkcji amerykańskiej.

Odnosi się wrażenie jak gdyby ze względów oszczędnościowych zakupowano filmy trzeciorzędne, które normalnie do Europy w ogóle nie dochodzą.

Jeżeli istotnie chodzi tutaj o oszczędność, to zdaje się, że raczej należałoby wydawane pieniądze zużytko-

wać w sposób bardziej przemyślany. Kino jest czynnikiem upowszechnienia a nie trywializacji kultury.

Od 1939 r. zostało wyprodukowanych wiele filmów, które do Polski nie dotarły, a z ekranów europejskich już zeszyły. Spośród tych filmów dąłoby się na pewno wybrać dużo takich i dobrych. Dla przykładu wspomnieć można o komedii „Poślubiłem czarownicę” („I Married the Witch”), czy „Margie”, filmie kryminalno-psychologicznym „Skradzione życie” („Stolen Life”) czy kryminalnym „Sklep w zaułku” („Shop At Sly Corner”).

Oba filmy, które nasuwały te refleksje są nudne, źle grane, pełne nieciekawych chwytów reżyserskich — co gorsza film „W cieniu podejrzeń” bawi się w psychologizację. Z jego treści wynika, że zręczne duszenie bogatych wdówek uchodzi bezkarnie, a morderca ginąc przypadkowo zapisuje się w opinii jako świetlana postać obywatela (patrz mowa Pogrzebowaj).

Leszczyński

„Przegląd Zachodni” czołowy organ Ziem Zachodnich

Wśród naszych periodyków omawiających problematykę Ziem Odzyskanych i Niemiec, wysuwa się na czoło „Przegląd Zachodni”. Miesięcznik ten, wydawany przez Instytut Zachodni w Poznaniu a redagowany przez Kiryła Sosnowskiego i Mieczysława Suchockiego, przynosi bogaty, starannie opracowany materiał, orientujący w całokształcie spraw zagadnień zachodnich. Należy dodać, że „Przegląd Zachodni” omawia nie tylko problemy niemieckoznacze i dotyczący Ziem Odzyskanych, ale poświęca również wiele miejsca sprawom czeskim, węgierskim i wreszcie informuje obszernie o najważniejszych przejawach życia gospodarczego - kulturalnego na naszych ziemiach zachodnich. Omawiając zaś całokształt spraw zachodnich, miesięcznik ten nie ogranicza się do rejestrowania wydarzeń aktualnych, współczesnych, ale یرzuca je na szerokie tło historyczno - filozoficzne. Na łamach „Przeglądu” zabierają głos nie tylko uczeni tej miary co Zygmunt Wojciechowski (dyrektor Instytutu Zachodniego) Bogdan Suchodolski, Józef Kostrzewski, Tadeusz Lehr Sławski i in., ale również cały szereg młodych zdolnych historyków i publicystów. Fakt ten — w połączeniu z doskonałym opracowaniem redakcyjnym sprawia, że „Przegląd Zachodni” jest w Polsce najpoważniejszym, naukowym periodykiem poświęconym problematyce zachodniej, co zresztą zgodnie podkreśla cała prasa polska.

Ostatni, październikowy numer tego miesięcznika przynosi szczególnie bogaty materiał, zasługujący na baczną uwagę każdego, kto tylko bliżej interesuje się sprawami zachodnimi.

W dziale „Ocen i omówień” prof. B. Suchodolski omawia trzy książki, które ukazały się ostatnio na rynku zagranicznym, a które charakteryzują duszę niemiecką, mianowicie: Leona Daudet „Connaissance de L'Allemagne”, zbiór przemówień lorda Vansittarta wydany po francusku pt. „L'Eternelle Allemagne”, oraz książkę amerykańskiego filozofa George Sautoyana o filozofii niemieckiej pt. „Egotism in German Philosophy”. Zestawienie tych trzech głosów: Francuza, Anglika i Amerykanina, którzy niezależnie od siebie dochodzą do pewnych wspólnych wniosków odnośnie niebezpieczeństwa „kultury niemieckiej” — jest niezwykle interesujące i pożyteczne. Jest tu sporo materiału do głębszego przemyślenia i zastanowienia się.

Na uwagę zasługują również w tym dziale artykuł Janusza Pajewskiego

(autora niedawno wydanej przez I. Zachodni książki pt. „Niemcy w czasach nowożytnych”), pt. „Legenda Bismarcka”. Omawiając książkę uczonego szwajcarskiego Ericha Eycka o Bismarcku, Pajewski podkreśla mocno główną zasługę tego autora: oto Eyck udowodnił, że Bismarck był pomnożycielem Prus a nie twórcą jedności niemieckiej, że był wielkim Prusakim a nie wielkim Niemcem.

Jedną z najważniejszych pozycji ostatniego „Przeglądu Zachodniego” jest artykuł Aleksandra Rogalskiego pt. „Zróżdła socjologiczne niemieckiego zła”. Omawiając książkę uczonego brytyjskiego Brogana pt. „Politische Kultur”, poświęconą krytyce niemieckiego życia społecznego oraz kultury politycznej tego narodu — Rogalski kładzie szczególny nacisk na fakt, że Niemcy nie posiadały żadnej silnej tradycji wolności duchowej, że kulturalnej wolności w Niemczech brakowało zawsze oparcia społecznego i dzielnych bojowników. Brakło jej nie tylko w niemieckiej arystokracji, junkierstwie, czy sferze mieszczańskiej, ale również w klasie robotniczej. I choć wydana ostatnio w Berlinie książka socjologa niemieckiego Jurgena Kulczyńskiego pt. „Die Geschichte der Lage der Arbeiter in Deutschland vom 1800 bis in die Gegenwart” wskazuje na upośledzenie ekonomiczne i polityczne warstwy robotniczej w Niemczech na przestrzeni ostatnich 100 lat, to jednak nie wolno stąd wyprowadzać wniosku, że warstwa ta była tylko bezwolnym narzędziem w ręku warstw rządzących i dlatego nie jest odpowiedzialna za zbrodnie niemieckie. Rzeczywistość bowiem mówi zbyt wyraźnie o masowym i entuzjastycznym poparciu Hitlera przez masy robotnicze.

Z uznaniem należy podkreślić, że ostatni numer „Przeglądu Zachodniego” wprowadził (na stałe) nowy dział pt. „Współczesna Czechosłowacja”. Zadaniem tego działu — jak informuje nas Redakcja — będzie informowanie czytelnika polskiego o najważniejszych wydarzeniach politycznych, gospodarczych i kulturalnych odrodzonej Czechosłowacji. W październikowym numerze „PZ” Andrzej Józef Kamiński daje nam obszerną, 10 stronicową kronikę życia czechosłowackiego, kronikę — trzeba przyznać — wielokierunkową i sumiennie opracowaną. Jeszcze raz zwracamy wszystkim czytelnikom uwagę na tę inicjatywę „Przeglądu Zachodniego”, która wypełnia bardzo istotną lukę w naszej prasie

(„Odra” bowiem nie mogła sama podołać temu zadaniu).

Drugim stałym działem „Przeglądu” to „Kronika Niemiec Współczesnych”, w ramach której życie polityczne omawia Andrzej Józef Kamiński, życie gospodarcze Witold Pawlikowski i wreszcie życie kulturalne Aleksander Rogalski. W żadnym innym periodyku polskim nie znajdziemy tak wszechstronnej kroniki życia niemieckiego — to też każdy, któremu pragnie się w życiu Niemiec Współczesnych orientować bliżej — musi mieć pod ręką miesięcznik poznański.

W dziale „Korespondencji” Marian Pelczar pisze o gdańskich ogrodach, plantacjach, odrestaurowanych po ostatniej wojnie, Andrzej Bukowski pisze o możliwościach gospodarczych Pomorza Zachodniego i o perspektywach naukowych Szczecina. Wreszcie Roman Łyczewski omawia trzy wielkie zjazdy odbyte ostatnio w Szczecinie.

Jeśli dodamy, że październikowy numer „Przeglądu Zachodniego” zawiera ponadto takie pozycje, jak:

Taki właśnie musi być tytuł sprawozdania z VI koncertu symfonicznego Filharmonii Warszawskiej

Pianistka francuska, wykonawczyni pięknego koncertu fortepianowego b-moll Czajkowskiego zelektryzowała tłumnie przybyłych słuchaczy i utrzymała wysokie napięcie przebiegu artystycznego przez cały czas trwania koncertu. Uczucia szczerego zachwytu dla rzadko spotykanej klasy pianistycznej pogłębione zostały na wtorkowym recitalu w sali YMCA.

Chociaż mam pewien osobisty żal do artystki, za wycofanie w ostatniej chwili z programu recitalu utworów Chopina, dobięram starannie słowa, które by odzwierciedlić mogły moje nieklamane uznanie.

Najistotniejszą cechą gry Monique de la Bruchollerie jest nie to, co porwał fachowców muzykologów, niezadko notowany poziom wirtuozerii, lecz udzielająca się słuchaczom pasja artystyczna. Cóż mam przypomnieć na usprawiedliwienie tej opinii? Allegro non troppo z koncertu Czajkowskiego? Rondo z mozartowskiej sonaty c-dur? Ondine Ravela? A może właściwiej byłoby wymienić wszystkie utwory wykonane przez pianistkę? Właśnie tak. Każda kompozycja, każda fraza zabarwiona była czymś, co się nie da określić, czymś, co je-

T. Brzostowskiego wspomnienie o śp. Władysławie Czajkowskim, St. Urbańczyka „Porządkowanie nazw miejscowych”, W. Kochanowskiego „Józef Pata i jego dzieło pośmiertne” (sprawy muzyczne), Z. Świechowskiego „Grobowiec św. Wojciecha w Katedrze św. Wita w Pradze”, W. Hensla „Jeszcze o atlasie wczesno historycznego Pomorza”, M. Straszewskiego „Problem bezpieczeństwa” (omówienie książki socjologa czeskiego prof. Chałupnego pt. „Niemci hrozi”) — to dopiero uprzytomnij sobie, jak rozległe są horyzonty tego miesięcznika i jak niezwykle bogata jest jego treść. Trudno wreszcie nie wspomnieć na zakończenie o tym, że ostatni numer „Przeglądu” otwiera wiersz znanego poety czeskiego Jana Pílara pt. „Pożdrowienie Polski” w języku czeskim i w tłumaczeniu polskim Tań. Różewicza.

„Przegląd Zachodni” daje dobre świadectwo Instytutowi Zachodniemu, który jest dziś bezsprzecznie czołową naukową placówką zachodnią w Polsce — zachodnią w sensie uzasadniania naszych praw do Ziem Odzyskanych i w sensie budzenia ustawicznej czynności w stosunku do zachodniego sąsiada. Kilkanaście książek, poświęconych Ziemiom Odzyskanym i stosunkom polsko-nie-

mieckim, a opracowanych przez takich znawców zagadnienia, jak Z. Wojciechowski, W. Konopczyński, J. Kostrzewski, M. Kielczewska, Z. Kaczmarczyk, T. Lehr Sławski, M. Friedberg, J. Mitkowski, szereg atlasów, map, słowników mających dla poznania Ziem Odzyskanych podstawowe znaczenie, dalej kilka tomów z cyklu „Documenta Occupationis Teutonicae”, wreszcie monumentalne monografie Dolnego Śląska, Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej i Odry, (ukazują się one w niedługim czasie) — oto dorobek Instytutu Zachodniego, kierowanego przez prof. Zygmunta Wojciechowskiego. Kiedy dodamy do tego bardzo ruchliwą i pożyteczną działalność Wydawnictwa Zachodniego w Poznaniu, mającego już na swym koncie kilkadziesiąt pozycji wydawniczych, oraz Zachodniej Agencji Prasowej w Poznaniu, dostarczającej biuletyny i serwisy z życia Ziem Odzyskanych i Niemiec Współczesnych (obie instytucje kierowane przez red. Edmunda Męclewskiego) — stwierdzić musimy, że środowisko poznańskie jest najbardziej dynamicznym i twórczym ośrodkiem w kształtowaniu Polski Zachodniej.

Włodzimierz Wnuk

Monique de la Bruchollerie

dną tylko może mieć nazwę: Monique de la Bruchollerie.

Obojętne jest mi w tej chwili do czego pod względem techniki dojdzie wirtuozka. Zyczę jej oczywiście najwspanialszych w tym zakresie sukcesów — co innego jednak dla mnie jest ważne: jeśli artystka nie utraci nic ze swej pasji, z jej porywającego temperamentu, muzyka jej zawsze będzie czymś wielkim, czymś niecodziennym.

Któryś z muzykologów wyraził „nadzieję”, że pianistka z czasem zdoła okiecać ten temperament, co, według znawcy, przyczyni się do uszlachetnienia jej gry. Czy to jest słuszne? Dajcie spokój z tego typu pomysłami. Nie okłamujcie sami siebie i innych.

Miarą talentu jest właśnie pasja. Prawdziwa artystka nie może być tylko zimnym rzemieślnikiem. Akademicka sprawność palców potrafi nam zaimponować — porwać zdoła przede wszystkim temperament.

Szczerze żywiołowe przejęcie się sztuką, poparta wysoką umiejętnością techniczną, zapewniła M. de la Bruchollerie wspaniały sukces. Byłiśmy jego świadkami na koncercie w Filharmonii. Wykonanie koncertu fortepianowego Czajkowskiego zaczęło się od spięcia między dyrygentem a solistką. Zanosilo się na walkę dość

dramatyczną. Zwyciężyła pasja artystyczna.

Taki finał nie oznacza wcale porażki dyrygenta. Włóczak, wydaje mi się, dał się również porwać żywiołowi solistki i poprowadził utwór całkowicie według jej koncepcji. Nie było to ani rezygnacją z własnych zamierzeń, ani przejawem słabości — zdecydowało tu coś znacznie szlachetniejszego: zrozumienie, zespolenie się w sztuce.

Wizyta M. de la Bruchollerie w Warszawie zakończyła się wielkim sukcesem tej artystki. Wiemy, że nie pierwszym, jesteśmy głęboko przekonani, że nie ostatnim.

**

W ramach VI koncertu Filharmonii orkiestra poza towarzyszeniem w wyżej wspomnianym utworze, wykonała Epizod na Maskaradzie Karłowicza i VIII Symfonię Beethovena. Obie kompozycje słyszeliśmy już w poprzednich koncertach. Dało to możność stwierdzenia postępów orkiestry. Wydaje mi się, iż dużo zyskała VIII Symfonia. Podkreślono mocniej precyzyjną wartość utworu. Właśnie część III-cia (Tempo di menuetto) wykonana była z wielką przejrzystością i w bezbłędnym brzmieniu. Zasługa to zarówno dyrygenta, jak i orkiestry.

c-h

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej

Stefan Kisielewski (Kisiel)

10

Co się tyczy nielicznych lokatorów domu, snuli się oni po podwórzu rzadko, opuszczali dom również rzadko, zaś w zetknięciu z policją zachowywali się nieśmiało, lekliwie niemal — tak, jakby coś mieli na sumieniu. Zamieszkały na drugim piętrze w podwórzu administrator domu Heffling, jegomość starszy, cierpiący na podagrę i ogólny artretyzm, ograniczył się do zamienienia z sierżantem kilku ogólnych uwag na temat zamordowania dozorczyni, po czym kulejąc wrócił do siebie. Starzy muzycy z trzeciego piętra byli już zdaje się w tym stadium życia, kiedy to nie zwraca się w ogóle uwagi na nic innego poza własnym, zamierającym organizmem. Panny Blankard nie wysuwały nosa ze swojego mieszkanka, tak, że właściwie policjanci kontrolujący przy bramie wchodzących i wychodzących z kamienicy mało co mieli do roboty: najważniejszym ich zajęciem było likwidowanie agresywnych zapędów natrętnych dziennikarzy, którzy co pewien czas usiłowali dostać się do wnętrza domu. W myśl rozkazu komisarza wypraszano ich grzecznie, ale stanowczo.

Aha, prawda. Był przecież w kamienicy lokator, który nastroczył sierżantowi nieco kłopotu. Lokator ten to znany nam już postrach komisarza Gromela — radca tajny Aleksander Pikron. Mały, zezowaty człowiek w okularach o złotawej oprawie wyszedł ze swego mieszkania rano: w ręku trzymał wielką, skórzaną tekę, najwiśnięciej udawał się do biura. Z groteskową energią przeszedł podwórze (krok miał nieproporcjonalnie w stosunku do swojego wzrostu długi), niespodzianie jednak zatrzymał się w bramie i oświadczył dyżurnującemu policjantowi, że ma zamiar udać się na pierwsze piętro do mieszkania profesora Galarda. Gdy zdziwiony policjant nie zgodził się na to, człowieczek tupnął nogą i zażądał widzenia z dowódcą. Sierżant Kalk, zjawiwszy się po chwili musiał wysłuchać szeregu cierpkich i gwałtownych uwag na temat brutalności i nieudolności policji kryminalnej — co, uprzedzony już przez komisarza Gromela, prześlknął stosunkowo gładko. Po tym wstępnie radca oświadczył mu, że jako zastępca dyrektora Departamentu Politycznego w Ministerstwie Administracji i faktyczny szef policji politycznej ma prawo wglądu w przebieg każdego śledztwa i kategorycznie żąda wpuszczenia go do mieszkania profesora Galarda, „z którym (profesorem, nie mieszkaniem oczywiście), łączą go bliskie stosunki sąsiedzkie i koleżeńskie“. Na grzeczną lecz stanowczą odmowę sierżanta, tłumaczącego się brakiem odpowiedniego rozkazu, radca wybuchnął falą wyzwisk, których w innych okolicznościach sierżant absolutnie nie puściłby mu na sucho. Trwało to parę minut, po czym łysy człowieczek widząc nieugiętość Kalka uspokoił się raptownie i, rzuciwszy spod okularów rozbiegane, złe spojrzenie, wyszedł na ulicę. Pomimo zbliżającego się zmierzchu nie powrócił do tej pory. Sierżant próbował kilkakrotnie nawiązać rozmowę z chudą, dość jeszcze młodą służącą radcy, lecz bez rezultatu — dziewczyna była wyraźnie wystraszona i nieufna.

Szara, a raczej fioletowa godzina przechodziła w gęstniejący zmierzch. Sierżant stał na podwórzu, w miejscu, gdzie zamordowano dozorczynię i medytował. Jakim cudem ulotnił się morderca? — żadnego absolutnie wyjścia z domu, oprócz strzeżonej przez cały czas bramy nie było — nie sposób zaś przysiąc założenia, że zabójca posiadał skrzydła — to również nie znajdowało potwierdzenia w dotychczasowych ludzkich obserwacjach. Dochodziło się do absurdu wniosku, że albo dozorczynię zabił któryś z policjantów, co było wszak niepodobieństwem, albo też dokonał tego ktoś spośród lokatorów domu. Ale kto? Poteżny cios ciężkim przedmiotem musiał zadać człowiek silny i sprężysty — potem, wraz z narzędnym zbrodni morderca udał się do siebie — lecz przecież ani śladów krwi na

schodach ani jakiegokolwiek innego znaku w żadnym z mieszkań nie znaleziono. W ustępie również żadnego ciężkiego przedmiotu nie ukryto — poszukiwania, były bardzo dokładne. A więc?

Sierżant podniósł głowę do góry i w coraz bardziej gęstniejącym mroku przypatrywał się oknom i ścianom domu. Gdzie niegdzie za firankami rozbiły się już blade światła. Nagle poczuł, że coś ociera mu się o nogi. Był to kot profesora Galarda. Zwierzę mruczało i ocierało się o sierżanta gwałtownie — zupełnie jakby chciało przemówić. Nagle kocur złożył się, miauknął jakoś dziko i gwałtownie rzucił się w stronę bramy. — Zwirowana bestia — zmiecił się sierżant. — A może poczuł zapach krwi na bruku podwórza? Chociaż to mało prawdopodobne — koty na ogół mają słaby węch.

Sierżant poszedł wreszcie w kierunku bramy. Chciał właśnie nakazać zapalenie światła na schodach, gdy przy wejściu od ulicy powstał jakiś ruch. Ktoś zamienił parę słów z policjantem, po czym wszedł i zaczął iść w głąb bramy, zbliżając się do sierżanta. Wysmukła sylwetka, krok sprężysty — Kalk rozpoznał natychmiast swego zwierzchnika.

— Co nowego sierżancie? — zapytał Gromel.

Kalk pokrótce opowiedział wszystkie nieliczne wypadki dnia, za to bardzo szczegółowo przedstawił dokonane poszukiwania — jakby chciał wieloma szczegółami przysłonić wyraźny przecieł, a do kuczliwy fakt zupełnego niepowodzenia. Nie widział twarzy komisarza, lecz wyczuwał, że Gromel słucha go niezbyt uważnie. Sierżant zrozumiał sprawę odrazu: komisarz był już na jakimś tropie.

— Dobrzeście się spisali, sierżancie — powiedział wreszcie Gromel. — Myślę, że niedługo już będziemy coś wiedzieli. Teraz pójdę do tego starego administratora na górę. Radcy Pikrona nie ma jeszcze, co?

— Nie ma, panie komisarzu.

Administrator Heffling nie wydawał się zadowolony z wizyty komisarza. Stary i schorowany, niezbyt chętny był do mówienia; podejrzliwość i ostrożność promieniowały z niego wyraźnie, mogło się zdawać, że w każdym pytaniu wyczuwał zasadzkę — zanim odpowiedział, długo ważył słowa, jakby od tego zależało jego życie.

Po szeregu nieudanych prób wyciągnięcia ze starego czegoś na temat jego wrażeń z niedawnych wypadków, komisarz dał za wygraną i postanowił ograniczyć swoje przesłuchanie do pytań ściśle rzeczowych. I tu właśnie spotkała go niespodzianka.

— Kto jest właścicielem tego domu? — zapytał.

— Łoża „Budowniczych Świata“ zabrzmiała dziwaczna odpowiedź.

— Co takiego?!

— Łoża „Budowniczych Świata“.

— Cóż to jest?!

— Łoża masoni — odparł administrator, jakby urażony ignorancją pytającego.

Komisarz nie wierzył własnym uszom, ale opanował się szybko.

— Sądziłem, że łoże masoni są tajne — zauważył.

— Nie wszystkie. Istnieją również łoże jawne — taką właśnie jest nasza łoża.

— Więc pan też jest członkiem?!

— Ja nie, skąd — broń Boże! Mówię „nasza“, bo jestem administratorem tego domu.

— A jakie są cele tej łoży?

— Nie potrafię pana o tym poinformować — odpowiedział zadasanym tonem stary. Ja jestem tylko płatnym funkcjonariuszem administracyjnym. Jeśli chce pan bliższych informacji o masonerii — dam panu książkę, która o tym traktuje.

Administrator przeszedł z wolna przez nagrażony w półmroku pokój, zapalił światło i drżącymi starożytnymi rękami spętał w niewielkiej bibliotece. Po chwili wrócił i położył przed komisarzem czarno oprawioną książeczkę. Tytuł jej brzmiał:

„Masoneria w naszym kraju“. Komisarz niezdecydowanie obracał książeczkę w palcach.

— Tu na końcu ma pan skorowidz — objaśniał stary. O, proszę. Łoża „Budowniczych Świata“, strona 90.

Komisarz spojrział i zaczął czytać.

Łoża Budowniczych Świata jest łożą jawną, należącą do obrządku szkockiego. Założycielami jej w roku 19... byli Kamil Lorm, Ludwik Galard, Aleksander Pikron i Filip Randen. Obecny sekretarzem łoży jest dr Aleksander Pikron, ulica Balkonowa 11. Sprawy prawne i majątkowe łoży prowadzi rejent dr Filip Randen, Rzymski Zaulek 15.

Komisarz przetarł oczy.

Kamil Lorm był dyrektorem Departamentu Politycznego w Ministerstwie Administracji i Sprawiedliwości — pierwsza osoba po ministrze, Pikron to jego zastępca. Wysocy urzędnicy byli członkami i założycielami tej łoży — wraz z profesorem Galardem. A jednocześnie rejent Randen — ten, u którego znajdował się testament profesora. Wszystko to układało się w jakąś dziwną, ale logiczną całość. Hagewand, Alicja, masoni; „Naród Przebudzony“, „Świat Nowy“ i łoża „Budowniczych Świata“. Zatem już trzech partnerów pragnących zdobyć tajemnicę profesora Galarda. Tajemnicę, od której, być może, zależa losy Republiki.

Aż za bardzo znaczące cieżkie cięciwo administrator obudziło komisarza z zamyślenia. Stary przyglądał mu się niezyczliwie i z widoczną irytacją. Komisarz wstał.

— Nie będę panu na razie zabierał więcej czasu — powiedział. — Dowiedziałem się dziś, że są u nas jawne łoże masoni. Słyszałem wprawdzie o tym kiedyś, ale zapomniałem. Czy mogę prosić pana o pożyczenie tej książki?

Administrator mrucnął coś w rodzaju przyzwolenia.

Było już zupełnie ciemno, gdy Gromel wydawszy sierżantowi parę instrukcji i skontrolowawszy zastawienie posterunków wyszedł na ulicę. Edward Iore nie powrócił, nie było również jeszcze radcy Pikrona. Komisarz przeszedł parę ulic, zanim znalazł taksówkę — na przekleciej „ulicy profesora Galarda“ nie ma nigdy nic, poza idiotycznymi rzeźbami, które wytrzeszczały na komisarza ślepią, jakby drwiły z niego w mdłym blasku latarni. Ale drwina w tym wypadku nie była już uzasadniona. Komisarz Gromel czuł, że siedzi w siodle coraz mocniej. Sprawa profesora Galarda zyskiwała wciąż nowe perspektywy, rozbudowywała się niejako — zbrodnia, której dokonano była punktem, w którym przecinały się i koncentrowały nici wielu niemiłych zbrodniczych spisków i knołów. Zbrodniczych, bo bez względu na swe cele, posługiwały się morderstwem — dzisiejszy zamach na komisarza to jeszcze jeden tego przykład. Zbrodnia jest zbrodnia, niczym innym — mruczał do siebie komisarz, siedząc w taksówce. Jeśli nie przerwie się tych nici zawczasu, spiskowcy przejdą od zbrodni indywidualnych do masowych; w imię „dobra ludzkości“ rozpętają terror. Wszyscy oni w gruncie rzeczy marzą o terrarze, a wynalazek Galarda to na pewno jakaś piekielna maszyna do wygubienia furi ludzi i zniszczenia Republiki. Że w Dzielnicy Wschodniej jest nędza — prawda, debatowano o tym ostatnio w parlamencie, o tym się wciąż myśli — ale nędza to nie dowód, że należy wszystkich mordować. To nędza nie usunie, a podważy prawo — bez prawa i moralności Republika zginie. Co ta mała plotka o wojnie? — wojna to wojna, a zbrodnia to zbrodnia. Republika jest sprawiedliwa, ale nie może tolerować przestępczej działalności swoich wrogów...

Takie oto myśli przepływały przez głowę jadącego taksówką komisarza. Rząd ko zdarzało się, aby bohater naszej opowieści policyjnej myślał tyle na tematy ogólne i raczej abstrakcyjne — to może

być miarą niezwyklego podniecenia, w jakim znajdował się tego wieczora; złożyło się na to wiele czynników: i zamach na jego życie i sprawa Alena i szkic dyskusji stoczony z Alicją i wreszcie fakt najważniejszy, że oto jutro po raz pierwszy w życiu Komisarz Gromel miał stanąć przed obliczem swego najwyższego zwierzchnika, Ministra Administracji i Sprawiedliwości Republiki.

Wreszcie auto zatrzymało się przed eleganckim choć nieco ciężkim domem w Rzymskim Zaulek. Było już ciemno, ale pobliska lampa łukowa lśniła mocnym, pięknym blaskiem. Komisarz zapłacił szoferowi i za chwilę już targał niecierpliwie rączkę dzwonka u ogrodowej kraty — dom bowiem znajdował się w ogrodzie. Echo dźwięcznego sygnału obilo się o dystygowane mury tej dzielnicy, lecz wiele czasu upłynęło, zanim wielkie drzwi domu otworzyły się i ukazał się w nich majestatyczny lokaj, który otworzył furte, wypytawszy przed tym Gromela dokładnie o cel jego wizyty, określony przez komisarza jako „prywatny“.

Komisarz znalazł się w eleganckim, ze smakiem urządzonej hallu. Lokaj wskazał mu głęboki fotel, po czym wyszedł. Właściwie zwyczajne słowo „wyszedł“ nie bardzo tu jest na miejscu, bowiem osobistość ta poruszała się majestatycznie, jakby płynęła w powietrzu. Gromel zapatrzył się w żarzący się przed nim angielski kominek: poczuł nagłe, że jest zmęczony i senny. Może nawet zdrzemał się trochę, chociaż bez — świadomego przynajmniej — zamykania oczu, gdy zbudził go skrzyp podłogi tuż, tuż, niedaleko. Komisarz zerwał się z fotelu, gniewny, że go przyłapano w momencie słabości. Przed nim stał człowiek w średnim wieku o rasowej, arystokratycznej, chłodnej twarzy. Opanowanemu wyrazowi tej twarzy przeczyły tylko oczy: błękitne, z nich skoncentrowany, fanatyczny, jakby obłądny nieco płomień. — Jeszcze jeden zbrodniarz dla idei — ta myśl przebiegła komisarzowi przez głowę jak iskra elektryczna. Oczywiście: to był jeden z nich.

— Czym panu mogę służyć, komisarzu — odezwał się nieznajomy harmonijnym, modulowanym głosem arystokraty. — Jestem Filip Randen, rejent.

— IPan mnie zna?

— A któż by pana nie znał — pan jest przecież bardzo sławnym człowiekiem — odparł rejent. Komisarzowi wydało się, że w głosie jego zabrzmiał leciutki akcent ironii. Gromel nie lubił takiego tonu — zmarszczył się i zeszywniał. Randen spostrzegł to.

— Czym więc mogę służyć? — powtórzył chłodnie.

— Sprawa jest prosta — komisarz odzyskał już panowanie nad sobą. — Słyszał pan na pewno o zamordowaniu profesora Galarda?

— Niewątpliwie.

— Zamordowany był, o ile mi wiadomo, pańskim klientem?

— Klientem i przyjacielem. Przez dłuższy czas zamieszkiwał u mnie.

— Jak wykazało śledztwo, zamordowany profesor powierzył panu swój testament. Czy tak jest rzeczywiście?

— Owszem.

— Otóż dla dobra śledztwa konieczne jest, aby policja jak najprędzej mogła się z tym testamentem zapoznać.

Całą tę rozmowę odbywali stojąc. Nagle rejent, jakby przypomniał sobie to, wskazał komisarzowi okrągłym gestem fotel — sam usiadł w sąsiednim. Przez chwilę milczeli; rejent poczęstował komisarza papierosem. Gromel nie palił — Randen zaciągnął się sam. Komisarz czekał bez słowa.

— To jest niemożliwe — oświadczył wreszcie rejent wypuszczając dym.

— Dlaczego? — głos komisarza był lekko podniecony.

— Właściwy testament profesora Galarda znajduje się w zalakowanej kopercie. Do koperty załączona jest otwarta instrukcja, rozporządzająca drobnymi rzeczami i meblami profesora, oraz nakazująca otworzenie koperty dopiero no upływie trzech lat od chwili śmierci. Wola zmarłego jest dla mnie rzeczą świętą, jak tajemnica spowiedzi dla księdza — zresztą ustawa zakazuje mi postąpić inaczej.

c. d. n.

Z zagadnień gospodarczych

Z krajowej prasy gospodarczej

„Celem zaznajomienia czytelników z ujęciem aktualnych zagadnień gospodarczych przez wybitnych ekonomistów i fachowców — podawać będziemy obiektywny przegląd niektórych wypowiedzi zamieszczonych na łamach gospodarczych czasopism krajowych i zagranicznych”.

W Nr. 2 „Ekonomisty” — Dr. Secomski w artykule „Z problematyki gospodarki planowej” rozważa niektóre zagadnienia z zakresu gospodarki planowej na tle porównawczym z gospodarką kapitalistyczną. Wykazując teoretyczne przewagi systemu gospodarki planowej, autor wskazuje na zachodzące niedociągnięcia i trudności, od których pokonania zależy powodzenie tego systemu.

Dr. Secomski cytuje następującą klasyfikację form planowania w/g J. Robinson:

1. planowanie kapitalistyczne o charakterze odcinkowym.

2. planowanie w/g New Deal wywodzące się z konieczności planowego podejmowania działalności publicznej w okresach, gdy prywatna przedsiębiorczość zawodzi,

3. planowanie monopolistyczne charakterystyczne przez swe dążenie do utrzymania zysków poszczególnych grup monopolowych,

4. planowanie socjalistyczne wiążące się ściśle z właściwym systemem gospodarki planowej.

Następnie autor stwierdza że „planowanie gospodarcze stanowić może w gruncie rzeczy przede wszystkim samą technikę i zespół metod, a więc środek realizacji pewnych zamierzeń”. Natomiast istotą rzeczy pozostaje określenie celu planowania, który decyduje o różnicach między gospodarką kapitalistyczną i gospodarką planową.

Uznając przewagę celów w systemie gospodarki planowej, zachodzi potrzeba „wyśledzenia trudności gospodarki planowej oraz możliwości ich usunięcia szczególnie przez wyzyskanie niektórych metod realizacyjnych już wypróbowanych w ramach gospodarki kapitalistycznej regulowanej”. Zadanie to jest tym ważniejsze w wypadku polskiego modelu gospodarki planowej, zachodzi próba połączenia niektórych aspektów gospodarki kapitalistycznej z zasadami gospodarki planowej przy zapewnieniu tej ostatniej zdecydowanej przewagi.

Zasadniczą różnicą między planowaniem kapitalistycznym a planowaniem w systemie gospodarki planowej jest różny motyw planowania. Motywem tym jest w gospodarce kapitalistycznej wyłącznie zysk. Gospodarka planowa natomiast nie wyrzekając się motywu zysku na poszczególnych odcinkach uważa, że główniejszym motywem jest także dostosowanie „rachunków” odcinkowych, które zapewnienia jak najdogodniejszy rachunek gospodarczy państwa.

O ile gospodarka planowa dzięki skoordynowaniu planów i pełniejszemu wykorzystaniu czynników produkcyjnych w skali ogólnopństwowej utrzymuje swą przewagę we wzroście produkcji brutto, to w zakresie powiększania produkcji netto (która zależy od obniżania kosztów funkcjonowania mechanizmu produkcyjnego) nasuwać się musi szereg trudności z uwagi na to, że brak w gospodarce planowej wielu samoczynnych instrumentów rynkowych,

które działają komprymująco na wysokość kosztów produkcji. Pokonanie tych trudności jest łatwe w przemyśle kluczowych i podstawowych działach produkcji i usług, które z natury rzeczy dążą do koncentracji. Jeden ośrodek dyspozycji ułatwia bowiem przeprowadzenie specjalizacji kierunków produkcji i podziału pracy, a tym samym przyczynia się do obniżenia kosztów produkcji. Omawiane trudności gospodarki planowej są większe w zakresie produkcji średniej i drobnej wskutek rozproszkowania ośrodków wytwórczych, przy czym realizowany w Polsce eksperyment systemu gospodarki planowej z sektorem prywatnym ułatwić może ich pokonanie, gdyż dopuszcza do funkcjonowania w systemie gospodarki planowej samoczynnie działających czynników na rynku produkcji. Teoretycznie istniejąca przewaga systemu gospodarki planowej zostanie więc w praktyce potwierdzona pod warunkiem zwiększenia wydajności pracy.

Zalety gospodarki planowej w zakresie realizacji planów produkcyjnych mogą zostać osłabione przez trudność pogodzenia tych planów z planami „konsumentów”, z którymi plany produkcyjne nie są dostatecznie zharmonizowane. Dlatego też dążyć należy aby plany produkcyjne były przystosowywane do planów „konsumentów”, a w wypadku wielu artykułów winna być wykorzystana możliwość wpływania na kształtowanie się „gustów” konsumentów.

Analizując zagadnienia rentowności stwierdzić należy, że chociaż w gospodarce planowej podstawą jest rentowność pośrednia (społeczna) to jest końcowy wynik rachunków, to jednak i rentowność bezpośrednia, będąca głównym motorem działalności gospodarki kapitalistycznej, nie może być pomijana. Wyłącznym kryterium rentowności społecznej jest bardziej uzasadnione w okresie odbudowy państwa, gdyż umożliwiła przeprowadzenie takich zamierzeń, które przy stosowaniu jedynie kryterium rentowności bezpośredniej nie doszłyby do skutku. (Np. dla Polski utrzymanie produkcji węgla chociażby ona była nierentowną bezpośrednio będzie rzeczą wskazaną w związku z możliwością pokrycia węglem potrzeb-

nych dla kraju surowców i urządzeń inwestycyjnych). Dążeniem gospodarki planowej musi jednak być osiągnięcie rentowności bezpośredniej w jak największej ilości przedsiębiorstw.

Poważne kontrowersje co do wyższości funkcjonowania omawianych systemów gospodarczych wywołuje sprawa cen. Jak dotychczas przynajmniej w gospodarce planowej będącej samoczynnie działającym regulatorem kierunków i rozmiarów produkcji nad ceną sztywną w gospodarce planowej. Polski system dzięki istnieniu sektora prywatnego zapewnił sobie funkcjonowanie sygnału ostrzegawczego, którym jest wolny rynek.

Na odcinku płac w systemie gospodarki planowej istnieje duża możliwość zwiększania udziału święta pracy w dochodzie społecznym. W praktyce w okresie odbudowy zachodzi jednak konieczność związania wzrostu poziomu płac ze wzrostem wydajności pracy. Pamiętać bowiem należy, że okres odbudowy nie polega jedynie na rekonstrukcji wartości materialowych, ale i na przywróceniu poprzedniej wydajności pracy. W latach bezpośrednich po wojnie, celem uniknięcia wstrząsów wszelkiej natury (np. inflacja), musi najpierw nastąpić wzrost wydajności pracy, a dopiero potem wzrost ten może znaleźć swój refleks w powiększonej płacy. Konieczność opóźnienia podnoszenia płac, a tym samym przedłużania okresu podkonsumcji, który miał miejsce podczas wojny jest jedną z zasadniczych trudności do przezwyciężenia w gospodarce planowej. W miarę dalszych etapów odbudowy poziom płac może być wyznaczany równocześnie z podnoszeniem wydajności pracy. Przyspieszenie wzrostu wydajności pracy, a tym samym wzrostu poziomu płac uzależnione jest przede wszystkim od równomiernego rozłożenia ofiar w okresie odbudowy na wszystkie klasy społeczne.

W dziedzinie finansowej dużą zaletą gospodarki planowej jest reglamentowanie kredytu co zapewnia zaspakajanie przede wszystkim najbardziej uzasadnionych i celowych zadań. Jednakże „wielki zysk polityki reglamentacyjnej w latach przyspieszonej odbudowy zależy od trafności kwalifikowania zgłoszeń

kredytowych”. Po zaspokojeniu najpilniejszych potrzeb odbudowy przy rozdziale kredytów stosowane być winno kryterium rentowności jako warunek osiągnięcia równowagi między popytem i podażą kredytu. Chociaż w okresie odbudowy zachodzi konieczność ograniczenia kredytu publicznego do sektora państwowego to jednak w przyszłości kredyt publiczny winien być wykorzystywany dla kształtowania kierunku ekspansji przedsiębiorczości prywatnej (wtedy gdy istnieje sektor prywatny).

Wreszcie autor analizuje poprawę sytuacji gospodarczej na podstawie wykonania planu produkcyjnego. Jeżeli na niektórych odcinkach plan będzie w stu procentach wykonany, a na innych duże będą braki — może powstać w rezultacie strata, np. niepotrzebne jest zrealizowanie planu produkcji dobra w 100%, jeżeli w dalszym stadium produkcji ma miejsce wykonanie planu w 80% przy wyzyskaniu niecałej produkcji dobra x. „Dobry plan ogólny wykonany w niższym odsetku może okazać się planem złym, nie tyle na tle niepełnej realizacji ile w związku z nierównomiernym wykonaniem poszczególnych części składowych.” Niedopuszczenie do powyższego stanu rzeczy może nastąpić jedynie dzięki sprawnej kontroli w toku wykonywania planu, dzięki dokonywaniu korektur oraz przeprowadzanych interwencji doraźnych.

W tym samym numerze „Ekonomisty” artykuł Cz. Strzeszewskiego „Zagadnienie uprzemysłowienia Polski” przynosi ciekawe uwagi na temat, który w ostatnich latach jest tak wszechstronnie i dokładnie analizowany.

W Polsce uprzemysłowienie jest najbardziej skutecznym środkiem do wzrostu produktywności pracy, który jest zasadniczym elementem postępu ekonomicznego.

Niedostateczne uprzemysłowienie było przed wojną przyczyną przeludnienia wsi polskiej. Jeżeli np. w 1931 r. z rolnictwa żyło w Polsce 61% ludności, a z przemysłu 19%, to udział rolnictwa w dochodzie narodowym wynosił 48%, a przemysłu 32%. Duża ilość konsumentów na wsi nie dysponując proporcjonalną do swej liczebności siłą kupna, przy małej ilości konsumentów nierolniczych była zjawiskiem ujemnym nie tylko dla rolnictwa, ale i dla przemysłu. „Mała liczba konsumentów

nierolniczych oznacza dla wytwórczości rolnej zamknięcie w ramach gospodarki naturalnej, a w konsekwencji osłabienie zdolności nabywczej rolników na rynku przemysłowym”. Na marginesie uwag autora zwrócić należy jednak uwagę, że w obecnym okresie powojennym uniknąć się winno zbyt dużej dysproporcji w odbudowie przemysłu i rolnictwa na niekorzyść tego ostatniego. Szybkie tempo odbudowy i szybki rozwój przemysłu będą bowiem dopiero możliwe, gdy kraj osiągnie stan samowystarczalności w zakresie żywienia.

W związku z rozpisana przez „Życie Gospodarcze” ankietą na temat kursu złotego, dr. Orłowski (Życie Gospodarcze Nr 16) przypomina jakiej ewolucji ulegało pojęcie i istota stabilizacji jednostki monetarnej jakiegoś państwa. Do 1914 r. stabilizacja jednostki monetarnej polegała na ustaleniu trwałego jej stosunku do złota. Złoto było wyłącznym miernikiem wszystkich walut. System ten mógł istnieć w pełni przy ówczesnie panującym na całym świecie ustroju gospodarczym, który polegał na swobodzie międzynarodowej wymiany dóbr i usług. Prosperowanie wymiany międzynarodowej znajdowało swój wyraz w tym, że rozwój gospodarczy poszczególnych państw szedł w kierunku produkcji tych dóbr i usług, których koszty wytworzenia były w danym państwie najmniejsze.

W okresie między pierwszą a drugą wojną światową system ten uległ rozbięciu. Szereg państw, czy to na skutek zniszczeń wojennych, czy też ze względu na trudności w tworzeniu ich organizmów gospodarczych (nowopowstałe państwa) eliminowało się od współpracy międzynarodowej i dążyło do samodzielności własnych gospodarstw. Tym samym państwa te oderwały się od złota jako miernika waluty.

Waluta coraz to bardziej stawała się instrumentem polityki gospodarczej współczesnego państwa, i to zarówno w obrotach międzynarodowych jak i w stosunkach wewnętrzno-krajowych, kiedy państwo przy pomocy świadomych procesów deflacyjnych lub inflacyjnych przeprowadza swoje zamierzenie.

„W świetle powyżej ewolucji stosunków gospodarczych i monetarnych” pisze dr. Orłowski, zagadnienie stabilizacji poziomu złotego ma zupełnie specyficzne znaczenie. W naszych warunkach pojęcie zdrowego pieniądza wiąże się nie z klasycznym pojęciem stabilizacji w sensie ustroju prywatno-kapitalistycznego, lecz sprowadza się do zasady, iż stabilizacja złotego musi być wyrazem stabilizacji stosunków gospodarczych kraju i waluta nasza musi być wyrazem ustabilizowanej równowagi ekonomicznej Polski.” (K.)

SPROSTOWANIE

W poprzednim 47 (104) numerze „Dziś i Jutro”, wskutek pośpiechu pracy redakcyjnej, wkładły się dwie pomyłki, za które przepraszamy autorów i które niniejszym prostujemy:

Nazwisko autora poezji umieszczonych na kolumnie drugiej brzmi: Maciej J. Kononowicz.

Wyjątek dramatu Jerzego Zawieyskiego jest wzięty z aktu II a nie I, jak zostało podane.

Redakcja.

Czytelnik uważa, że...

DO RED. „DZIS I JUTRO”

Zapytuję, dlaczego wśród tych wielu bohaterskich plutonów A. K. nigdy nie był wymieniany w „Dziś i Jutro” pluton 107, „Jeleń”, tzw. Siódemka, oraz cała formacja por. Nowiny i jego podwładnych, którzy z pełną świadomością, że idą na pewną śmierć, nacierali w dziesięciu z bramy Al. Szucha 2/4 na główny gmach kaźni gestapo i nie cofnęli się.

Co się stało z ciałami poległych?

Dlaczego w miejscu, gdzie palono rozstrzelanych z więzienia gestapo nie postawiono żadnego nagrobka, tablicy?

Dlaczego w bramie w Al. Szucha 2/4, gdzie zginęli nasi najbliżsi, nie ma choćby małego napisu z krzyżykiem?

Tak chciałabym wiedzieć, czy ci wszyscy, którzy polegli w Alei Szu-

cha, w pierwszych chwilach powstania: Surma, Andrzej Waligóra, Drecki, Konopka i cała ich dziesiątka została odznaczona.

Pisałam w tej sprawie już do PCK, niestety nikt nawet nie raczył mi odpowiedzieć.

Prosiłabym bardzo o podanie mi miejsca, cmentarza, gdzie są pochowane prochy tych wszystkich pomordowanych i spalonych w Alei Szucha

Z poważaniem

„Waligórzanka”

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

W felietonie „Obiadowe recenzje” (nr 42 „Dziś i Jutro”) p. J. Siwkowska wspomina jakiegoś kucharza Scholze i jego „świeżą wołowo-mordową sałatę z sosem remoladowym”

— i prosi wszystkich botaników o rozwiązanie tej zagadki sałatowej.

Nie jestem botanikiem, lecz amatorem sztuki kulinarnej i jako taki rozwiążę tę zagadkę. Chodzi tu o tzw. „Ochsen mausalat”, a nazwa polska jest obrzydliwym dosłownym przekładem niemieckim. Polski kucharz czy gastronom mówiłby o sałacie z „policzka wołowego”. Przyrządza się ją w ten sposób, że się policzek wołowy gotuje długo w słonej wodzie z jarzynami, po czym kraje się go w cienkie paski, studzi i zalewa winogretą lub zimnym sosem. Sos „remoladowy” jest rodzajem sosu majonezowego.

Zresztą taka sałatka nie jest zbyt smaczna, bywa twarda i lękowata, w sam raz dla Niemców!

Z poważaniem

Ludwik Szczepański